ŚWIAT

Nr. 12 - 23 - III - 1929



SŁYNNA Z PIĘKNOŚCI I WDZIĘKU AMERYKAŃSKA TANCERKA P. BETTY COMPSON

INTERESY HANDLOWE I MAJĄTKOWE

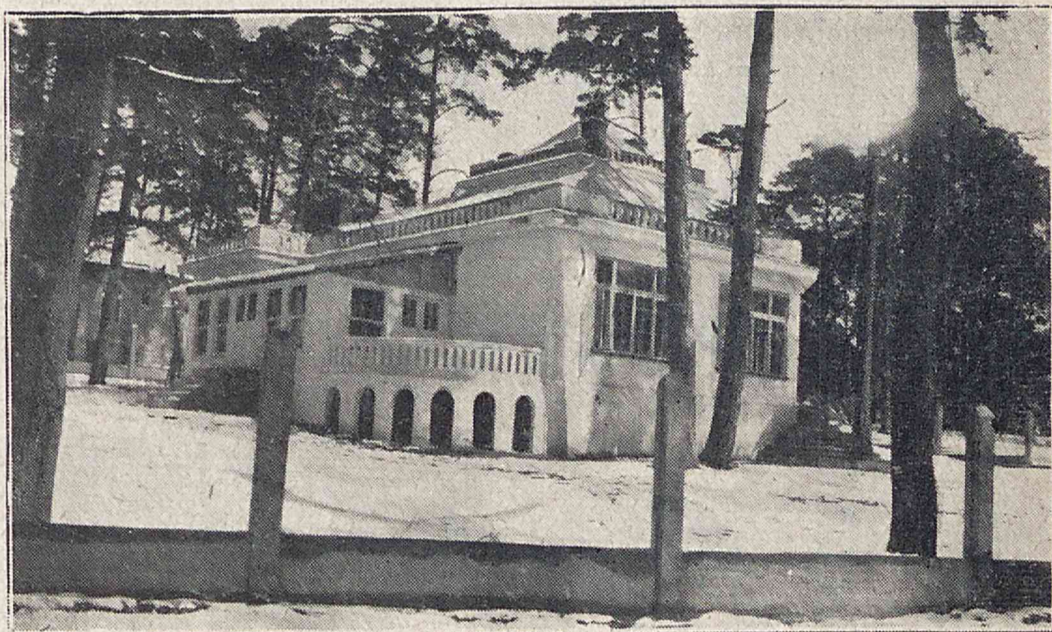
Nadchodzący sezon budowlany pociągnie za sobą prawdopodobnie więcej ożywione tranzakcje domami, parcelami, willami, placami i t. d.

Dbając zatem o wygodę szerokiego ogółu naszych czytelników w sprawach sprzedaży i zakupów nieruchomości—wprowadzamy stałą rubrykę w „Świecie" p. n. „INTERESY HANDLOWE I MAJĄTKOWE",—w której zamieszczać będziemy, wzorem pism zagranicznych, fotografje objektów zaofiarowanych, jak również wszelkie informacje, drobne ogłoszenia, odpowiedzi, zapytania i t. p.

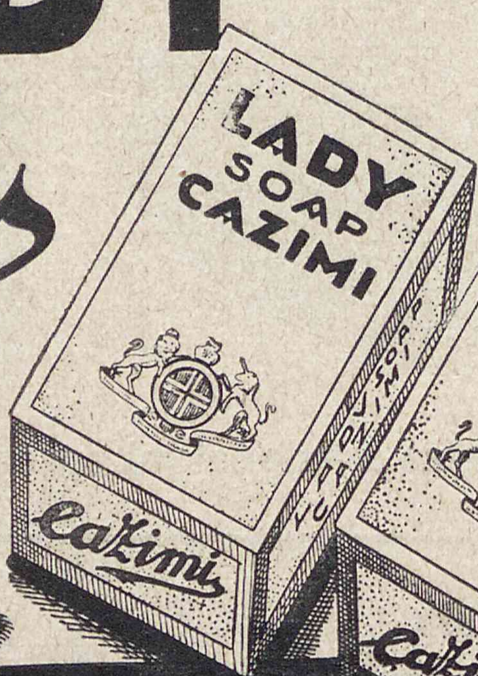
Mamy nadzieję iż inowacja ta zostanie z zadowoleniem przyjętą przez sfery zainteresowane i odpowiednio wykorzystaną.

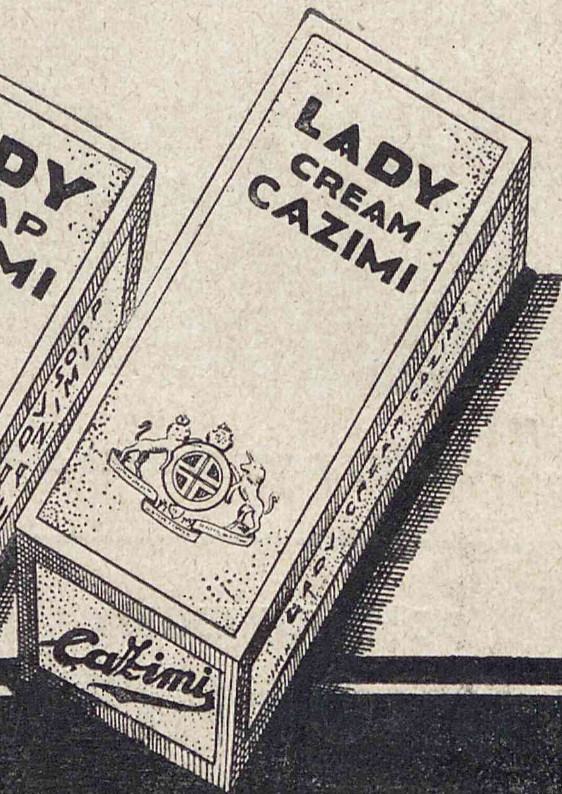
REDAKCJA





Dwie wille na 2 rodziny przy drodze wiedeńskiej sprzedaje biuro Packa, Nowogrodzka 23, tel. 79-04.







Czem myć twarz i skórę głowy

Wystrzeganie się szablonu, tudzież ścisłe uwzględnienie potrzeb w doborze preparatu *lekarsko - kosmetycznego* stanowią podstawę skutecznego pielęgnowania urody. Dawniej myło twarz preparatem, jaki się nawinął, to też spustoszenia były zastraszające, zwłaszcza u osób z tłustą właściwością cery, skłonną do wągrów, porów i łuszczenia się tłuszczem. Przedewszystkiem zalecam mycie wyłącznie *gorącą wodą, bez względu na właściwość cery*. Tłustą cerę powlec na 10 minut oliwą jadalną, poczem długo spłókiwać gorącą wodą i leciuchno wymyć *proszkiem marmurowym „Miraculum"*. Pudrować odtłuszczającym pudrem *higjenicznym Dra Lustra*. Prawidłową cerę i suchą zmiękcza się i wygładza prawdziwemi *otrąbkami migdałowemi z przepisu Dra Lustra*. Dla takich właściwości cery: roślinny puder *egzotyczny Dra Lustra*. Głowy *nie* zwilżać zimną wodą, myć umiarkowanie gorącą i znanym *Shampoonem Dra Lustra* — do jasnych, względnie ciemnych włosów.

Dr. Z. B.

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.
ROK XXIV
ŚWIAT
- NR - 12 -
WARSZAWA, DNIA 16-go MARCA 1929 ROKU
Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

PANTEON POLSKI

Statystyki bieżące podkreślają dość często radosny fakt, że „na głowę" obywatela polskiego przypada najmniejsza ilość długu państwowego, w stosunku do mieszkańców innych państw europejskich. Znacznie gorzej przedstawi się sprawa, gdy zaczniemy mówić o długu *moralnym* każdego z nas wobec tych, co nazawsze odeszli, a których wpływy są daleko mocniejszą rzeczywistością, niż wpływy współczesnych. Gdy się obejrzymy poza siebie, gdy obejmiemy wzrokiem najcięższe lata bytu narodowego, w których ciemnię niewoli rozświetlały jedynie promienie wielkich duchów, twórców, bojowników, budowniczych Ojczyzny — to się przekonamy, że mamy do spłacenia ogromne wobec nich długi. I nietylko te, które płyną z niedostatecznego poznania ich dzieł. Winniśmy im materjalną niejako symbolikę czci i wdzięczności, wypełnioną dotychczas wobec nielicznej ich garstki.

Poczucie tego wielkiego długu istnieje od pierwszych chwil niepodległości, ale z niezmiernym, niewiarodognym trudem wydobywa się ono z dziedziny teoretycznych dyskusyj lub też z kręgu ociężałych, powolnych, czasem dziwnie wypaczonych działań. Gdy w roku 1898 ogłoszono wiadomość, że „car pozwolił" na postawienie w Warszawie pomnika Mickiewiczowi, cały kraj pospieszył ze składkami tak szybko, że po miesiącu już zebrano sumę, która nietylko pokryła wszystkie wydatki, przewidziane w kosztorysie, ale wykazała znaczną nadwyżkę na stałą konserwację pomnika. I stanął z piorunującym pośpiechem pomnik jedyny w swoim rodzaju: jedyny, wprawdzie, w Europie co do swej szpetoty, ale jedyny, jako wyraz niesłychanego entuzjazmu ciemiężonego narodu.

...Upłynęło lat dwadzieście. Rozproszyła się nazawsze atmosfera zakazów lub carskich zezwoleń. Umarł wielki twórca i wielki „pokrzepiciel serc", Henryk Sienkiewicz. Po wspaniałym hołdzie pogrzebowym utworzył się komitet budowy jego pomnika. Komitet — liczny, pełen uwielbienia dla genjalnego pisarza. Po kilku posiedzeniach sprawa przycichła, a po kilku miesiącach — zamarła... Brakło wiary, iż zbierze się dostateczny fundusz drogą dobrowolnych składek. „Ciężkie czasy" stały się łatwem hasłem dla moratorjum długów moralnych...

Takie same formy krótkich entuzjazmów i wygodnych odwrotów powtórzyły się po śmierci Stefana Żeromskiego i Władysława Reymonta. Wszystko jest gotowe: ogromne komitety plenarne i wykonawcze, różne komisje gospodarcze, artystyczne i propagandowe, tylko — wciąż niema odpowiedzi na pytanie: z jakich funduszów pomnik będzie postawiony? Komitet pomnika Żeromskiego, po dłuższem milczeniu, wypełnionem brakiem wiary w całe przedsięwzięcie, niedawno ruszył z miejsca: powierzył sprawę zbierania wielkich funduszów sprężystej inicjatywie jednej osoby. Jeszcze gorzej stoi sprawa pomnika Słowackiego, którego zwłoki przewieziono do Ojczyzny w takiem potężnem wzniesieniu serc, w takiej glorji wspaniałej. Po jednem plenarnem po-

siedzeniu (niezbyt zresztą licznem), komitet podzielił swe funkcje między komisje i — od półtora roku nie daje o sobie znaku życia.

Pomimo nastrojów tak fatalnych, pomimo obojętności tak przygnębiającej, powstają wciąż nowe projekty pomników i nowe komitety. Mamy już w tej chwili jedenaście projektów pomników dla: Jana Kochanowskiego, Tadeusza Kościuszki, Jana Kilińskiego, Wojciecha Bogusławskiego, Aleksandra Fredry, Juljusza Słowackiego, Józefa Ign. Kraszewskiego, Stanisława Moniuszki, Henryka Sienkiewicza, W. Reymonta i Stefana Żeromskiego. Realizacja tych projektów wymagać będzie przynajmniej kilku miljonów. Jakże je zebrać? Nie ulega już żadnej wątpliwości, że kołatanie do ofiarności publicznej zawiedzie zupełnie. Ofiarują przeróżne „firmy" reklamowe podarki dla „miss Polonji", ale nie dadzą ani grosza na pomnik dla Słowackiego. To też najmniej pewne są te pomniki, które liczą na „wdzięczność" społeczeństwa; gruntowniejszą podstawę zyskuje akcja, która się zwraca o pomoc do instytucji, gmin, a przedewszystkiem do jedynego orędownika, któremu najchętniej odsyła się wszelkie trudności tego rodzaju tj. do Rządu. Rodzą się także osobliwe, specjalnie polskie pomysły stawiania pomników w odrodzonej Ojczyźnie. Wydawca, korzystający z przedawnienia praw autorskich Kraszewskiego, stawia mu, *własnym sumptem*, pomnik na placu miejskim, pod opieką zarządu stolicy. Ogłoszony konkurs rzeźbiarski wyznaczył laureatom nagrody po 1625 złotych! A przecież rola Kraszewskiego w polskiej kulturze za czasów niewoli jest, naprawdę, olbrzymia i naprawdę spodziewać się mogła *należytego* uczczenia przez społeczeństwo. Nikt się nie wstydzi takiego *prywatnego* pomnika; wszyscy są radzi, iż ktoś zdjął tak ochotnie ten ciężar z sumienia polskiego. I tylko przyszłe pokolenia nie zrozumieją nigdy nastrojów Polski powojennej, śród których mogła być dokonana z lekkiem sercem budowa tego pomnika „wydawniczego".

Niemniej charakterystyczną jest budowa pomnika Bogusławskiego, zainicjowana z powodu przypadającej w tym roku setnej rocznicy zgonu wielkiego twórcy teatru narodowego, o którym deklamują wszyscy wzniośle przy każdej sposobności. Sprawę budowy tego pomnika wziął na siebie Związek Artystów Scen Polskich i rozwiązał ją w sposób oryginalny: korzystając z dobrych warunków swej organizacji, nałożył czasowy haracz na dyrekcje teatrów, z któremi zawiera co roku t. zw. „konwencje".

Będzie to więc pomnik d y r e k t o r s k i, zbudowany pod rygorem organizacyjnym.

* * *

Jest coś szczerze dramatycznego w tej rozległej sprawie naszych pomników. Uczuwamy potrzebę uczczenia naszych wielkich ludzi, a nie wierzymy we własną ofiarność dla tego celu. Jedyny pomnik, jaki już stanął (Szopena) — zawdzięczamy pomocy Rządu. A jednak odsyłanie tych zadań Rządowi jest fałszem obyczajowym, który wyda smutne świadectwo o naszem pokoleniu. Państwo polskie, skoro się upora z najważniejszemi trudnościami gospodarczemi, stanie wobec konieczności stworzenia Panteonu narodowego, świątyni cywilnej, z żadnym kultem religijnym nie związanej. Panteon taki zbierze razem największych w narodzie i stanie z woli Sejmu. Sprowadzimy do tej świątyni narodowej naszych wielkich, rozproszonych po obcych cmentarzach, sprowadzimy tych, którzy mają groby tymczasowe w kościołach. Ileż drogich sercu polskiemu mogił usypano w samej Francji! Wrócił w tryumfie Słowacki, ale na tymże cmentarzu, gdzie długo spoczywał, pozostały jeszcze zwłoki Lelewela i Bohdana Zalewskiego. Na Montparnasie leży wielki Norwid, dziś dopiero ukazywany w całej mocy swego odrębnego genjuszu. Na Père - Lachaise mamy groby: Szopena, Hofmanowej, Nabielaka. Z Montmorency zabrać musimy prochy Niemcewicza i Kniaziewicza; z Neuilly — Hoene - Wrońskiego i z Auxerres — Mochnackiego. A iluż jeszcze spoczywa innych, czy to na cmentarzach obcych (Jeż), czy to na cmentarzach lub w kościołach polskich (Krasiński, Prus, Sienkiewicz, Wyspiański, Żeromski, Reymont etc.) W chwili budowania Panteonu musi być również zrewidowana sprawa grobów na Skałce. Groby zasłużonych zgromadziły w tamtych podziemiach okoliczności przejściowe, z tymczasowością niewoli związane. Długosz, Siemieński, Kraszewski, Wyspiański itd. pochowani tam zostali dlatego, że nie było innego, wybranego specjalnie dla zwłok zasłużonych Polaków miejsca. Ale samo miejsce ma charakter religijny, nie dopuszczający protestanta lub człowieka wolnomyślnego. Utrwalanie więc tradycji grobów na Skałce nie może być pożądane.

Polska musi zbudować dla swych wielkich ludzi gmach specjalny, musi zbudować *Panteon* własny. Pomieszczanie zwłok w tej świątyni będzie objawem największego hołdu i wdzięczności narodu dla pamięci wielkiego poety, pisarza, myśliciela, męża stanu, bojownika. Stąd promieniować będzie na cały kraj duch wielkiej zasługi, wielkiej twórczości i wielkiej mocy.

Panteon Polski jednakowe będzie miał znaczenie, czy stanie w Krakowie, czy w Warszawie. Kraków jednak nie łatwo się pozbędzie religijnego charakteru grobów dla zasłużonych. I dlatego, gdy idea Panteonu naszego dojrzeje, stanąć on musi w Warszawie, pomyślany i zdobiony przez najlepszych artystów naszych, oznaczony pełnym chwały i dumy narodowej napisem: „Wdzięczna Ojczyzna — swym Wielkim Ludziom".

Jan Lorentowicz

WIZYTA NIEMIECKIEGO POETY W WARSZAWIE

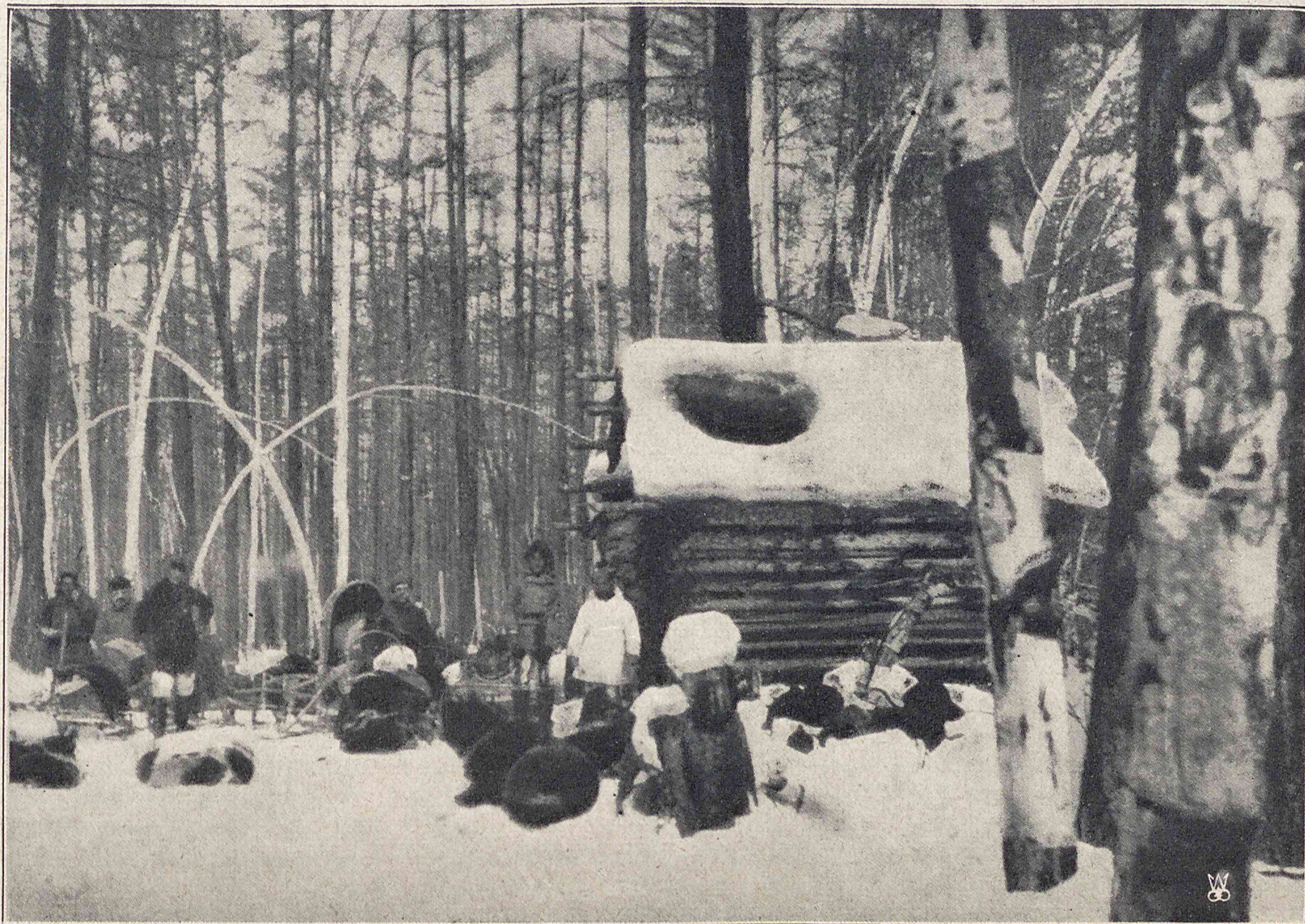


Na zaproszenie P. E. N. klubu przybył do Warszawy znany poeta niemiecki, Teodor Däubler, autor słynnego poematu pt. „Zorza Północna". Miłośnik Hellady podróżował po Egipcie, Nubji, Palestynie, Syrji i Turcji. Ogłosił wiele prac teoretycznych, dotyczących sztuki, jak „Lucidarium in arte musicae" (rzecz o muzyce), „Nowy punkt widzenia", „Walka o nową sztukę" i t. p.

Poezje jego zdobyły w Niemczech powszechne uznanie. W roku ubiegłym pisarze niemieccy obrali go na stanowisko prezesa swego P. E. N. klubu. Pobyt T. Däublera w Polsce może przyczynić się do rozwiania nieporozumień kulturalnych, jakie stale jeszcze znajdują łatwy posłuch nad Szprewą?



Miasteczko na Kamczatce, zasypane śniegiem: komunikacja odbywa się przez wyryte w śniegu tunele



Poczta w tajdze na Kamczatce.

JAK SIĘ PISZE KOMEDJE

Możnaby postawić tysiąc złotych przeciw jednemu, że nie było jeszcze na świecie takiego autora dramatycznego, do któregoby się co jakiś czas nie zwracał człowiek zgoła stateczny z zapytaniem:

— Niech mi pan powie, jak się pisze sztukę?

Jest to skądinąd bardzo ciekawe, że im mniej ludzie czytają, tembardziej się interesują, jak się pisze. Nieraz zastanawiałem się nad tem, nie widząc istotnego związku między obojętnością do czytania a ciekawością, dotyczącą pisania sztuki. To tak zupełnie, jakgdyby ktoś, który niecierpi kobiet, interesował się przedewszystkiem — kobietami. Co takiemu u licha może zależeć na tem, co myśli i czuje kobieta, trzymająca w objęciach kochanka, skoro sam, na wspomnienie takiego casus, dostaje gęsiej skórki ze strachu! Zdarza się to dość rzadko i nie mówi się o tem panienkom — żeby nie traciły wiary w siebie — i w miłosierdzie Boże, przecież tacy szaleńcy i marnotrawcy istnieją na świecie, a nawet chodzą z czerwonemi goździkami w butonierkach na znak, że z rutynicznem zaludnieniem świata zerwali raz na zawsze.

Co do mnie, ilekroć usłyszałem zapytanie — jak się pisze sztukę— a słyszałem je wiele razy, wysilałem się natychmiast na jeden z najbardziej czarujących uśmiechów, którego się nauczyłem od Malickiej (Boże, przebacz tej niedołężnej imitacji) i odpowiadałem ze swobodą:

— Ależ szanowny panie! Jest to najłatwiejsza rzecz na świecie. Poprostu kupuje się dwie libry papieru, buteleczkę atramentu i stalówek krajowych za 50 groszy. Potem wraca się z tem wszystkiem do domu i zaczyna się pisać, a po pewnym czasie sztuka jest gotowa. Muszę jednak dodać dla orjentacji tych, którzy pragną skorzystać z mojej recepty, że ilość papieru nie została jeszcze dotąd ściśle określona. Słyszałem naprzykład, że znakomity autor „Fryderyka Wielkiego", Adolf Nowaczyński, dla napisania historycznego dramatu zakupuje półroczną produkcję „Jeziorny". Wprost przeciwnie naprzykład, niż Wacław Grubiński, który najbardziej „Niewinną Grzesznicę" potrafi unieśmiertelnić na trzech bibułkach, jakie widzimy w kieliszkach, zdobiących stoły pierwszorzędnych restauracyj warszawskich. Nie wiem oczywiście, ile papieru potrzebuje zużyć Perzyński na napisanie swego „Dziękuję za służbę" w teatrze Narodowym lub Zygmunt Kawecki na całą „Furę słomy". Domyślam się jednak, że mniej więcej tyle, ile Wroczyński wydaje na swoje „Aby żyć", lub Stefan Krzywoszewski na przemiłą „Panienkę z dancingu". Sądzę zatem, że nie rujnują się zbytnio w chęci przysporzenia skarbowi większego podatku dochodowego, obliczanego bez odtrącenia sumy, wydanej na koszta „produkcji". Tak bowiem skarb pojmuje wydatki, związane z zawodową pracą pisarza, mierząc ją ceną atramentu i papieru, a to z uwagi, że do pisania sztuki nie trzeba nic więcej, niż do pisania „kawałków". Inteligentnie, bo inteligentnie, ale można wymyśleć lepszy dowcip! Przynajmniej tak mi się zdaje.

Naturalnie, jeżeli się nie mówi o niesamowitych fenomenach twórczych, lecz o zwykłych komedjopisarzach, to sądzę, wbrew opinji urzędu skarbowego, że nie ilość spotrzebowanego papieru i atramentu ma najważniejsze znaczenie w tak zagadkowej sprawie, jak powstanie dobrej komedji. Mówię dobrej, gdyż jak powstają złe komedje, o tem nie mam naturalnie pojęcia, ponieważ nie jestem recenzentem teatralnym, abym się z tego cieszył i nikt mi za to nie płaci. Jeżeli zatem, jak się łatwo domyśleć, coś jeszcze w tej sprawie interesuje inteligentny ogół, po za papierem i atramentem, to naturalnie przedewszystkiem to: w jakim czasie autor pisze swą komedję. Ta sprawa bowiem zacnym a tkliwym i serdecznym ludziom nie daje spokoju, jasnem jest bowiem, jak słońce, że jeżeli taki autor weźmie za sztukę 12.000 złotych, ale pisze ją dwa lata, to mu wypada po 500 złotych miesięcznie, czyli ma tyle, ile starszy referent w biurze i wszystko jest w należytym porządku. Nikt nie ma krzywdy i każdy urzędnik może spać spokojnie, bez obawy, że się dzieje w Polsce wielka niesprawiedliwość. Gorzej znacznie przedstawia się zagadnienie czasu, jeżeli znajdzie się taki, jak już wspomniałem, niesamowity fenomen, który po trzystu skeczach, napisanych do Qui pro Quo — debiutuje w teatrze Polskim — sztuką, którą napisał w 33 godziny. Że tak jest, a nie inaczej, nie ulega najmniejszej wątpliwości, ponieważ sam tak powiedział. A któżby nie wierzył tak miłemu człowiekowi, jak Hemar? Trzydzieści trzy godziny, — to istotnie rekord szybkości!... Niewątpliwie gdy się wprawi, nie będzie nawet i tyle marnował drogiego czasu na napisanie komedji. Pięć godzin wystarczy, zwłaszcza gdy zastosuje świeżo wynaleziony w Hollywood elektryczny motorek do Remingtona, który wtedy będzie mógł drukować, nie tak, jak dzisiaj, pojedyncze litery— ale odrazu całe sceny i akty. Oszczędność w czasie ogromna! Podziw zapewniony, a przewrót w komedjopisarstwie nie mniejszy, niż w astronomji uczynił system Kopernika! Istnieje bowiem w każdym pisarzu wiele z epoki, którą przeżywa! W Hemarze najsilniej utrwalił się pęd do rekordów! Ustanowił więc w literaturze rekord szybkości w pisaniu komedji — a młodsi autorzy, którzy niewątpliwie kiedyś się znajdą, nietylko będąc młodymi pod względem swego metier — ale i przeżytych lat niedawnego niemowlęctwa — będą mieli już coś do pobicia! Wówczas wszystkowiedzący, wzbudzający ogólny podziw swą oślepiającą inteligencją, recenzenci warszawscy rzucą w tłum nowe hasło: Sztuka, którą autor pisał pół roku, nie ma najmniejszej wartości! Prawdziwa twórczość wypowiada się szybko i radykalnie! Może powiedzą przy tej sposobności jeszcze wiele innych głupstw? Któż to może przewidzieć? Narazie kwestja czasu, koniecznego dla napisania komedji, nie jest tak samo definitywnie określona, jak ilość potrzebnego papieru i atramentu! Mimo to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że napisanie komedji, jest to jedna z czynności, stojących narówni z paleniem papierosa lub przyglądaniem się błądzącym po niebie obłoczkom. Każdy z autorów dramatycznych słyszy przecież dość często, gdy mu się zwierza ten i ów, tonem godnym zaufania:

— Wie pan, gdybym miał czas, napisałbym komedję!

Albo gdy widziana w teatrze sztuka nie przypada mu do gustu:

— Daję słowo, napisałbym lepszą komedję!

I aż podziw bierze, dlaczego taki jeden z drugim nie chce bogacić literatury ojczystej! Nie jest to nic trudnego! Papier tani, atrament tani, stalówki tanie — a czas?... Cóż znaczy czas, wobec ostatniego

rekordu Hemara? Trzeba być doprawdy skończonym wałkoniem, żeby sobie nie zaoszczędzić trzydziestu trzech godzin z najbardziej absorbującej pracy, chociażby nią była nawet najgorętsza miłość miodowego miesiąca, spędzanego na Rivierze. Sądzę, że gdyby w tej niewyjaśnionej sprawie decydował czas — choćby nie rekordowy, ale całkiem solidny, porządny czas, to autorzy dramatyczni składaliby się przeważnie z posłów na Sejm, zajętych głównie podnoszeniem prawej ręki i wychodzeniem przez drzwi — tudzież z „naczelnych" różnych biur, którzy przychodzą o dwunastej, aby się utwierdzić w przekonaniu, że nikt z urzędników, prócz nich, nie jest godny remuneracji — i wracają do domu na obiad.

Należy się zatem zastanowić głęboko, dlaczego naród polski, mający takie niezwykle zdolne do wszystkiego mniejszości, stanowiące łącznie z autochtonami 30 miljonów obywateli, posiada zaledwie kilkunastu autorów dramatycznych! Bo skoro każdego stać na „materjały piśmienne" i trzydzieści trzy godziny — to powinno ich być tylu, ilu jest archikonfraterów literackich, to znaczy 40% ogółu ludności, a zatem krótko mówiąc — 12 miljonów. Ładna liczba! Dwanaście miljonów autorów dramatycznych w Polsce. Tego nawet najsumienniejszy krytyk nie mógłby zerżnąć dokładnie, nie mówiąc już o tem, że do przeczytania tej „produkcji" — jak się obecnie wytwornie nazywa literaturę dramatyczną, kierownictwo Teatrów Miejskich musiałoby ustanowić nowe posady. Niema jednak o to obawy! Właśnie z tego powodu niema, że poza papierem i czasem coś jeszcze jest potrzebne do napisania komedji — coś, co nurtuje niepokojem dobrotliwe serca niemogących sobie tego wytłumaczyć inteligentnych, rozumnych poczciwców. Pytają się naprzykład, czy trudno napisać taką komedję, która ma powodzenie i czekają na odpowiedź, jakby chodziło o stwierdzenie, czy łatwo jest ożenić się albo... wygrać dolarówkę. Wogóle z temi pytaniami jest nie byle jaka uciecha. Czasami człowiek, skądinąd zasługujący na zupełny szacunek, powie coś takiego, co mimowoli powoduje badawcze spojrzenie w kierunku jego głowy, gdyż nie można być wtedy zupełnie pewnym, czy jest to istotnie prawdziwa głowa, czy proteza. Autor robi mdłą minę i uśmiecha się, jak do dziecka, które wyrżnęło go w ciemię grzechotką i naturalnie nie przyznaje sie nigdy, że do napisania takiej sztuki potrzeba coś więcej prócz spokoju i wymordowania wszystkich dziadów śpiewających na podwórzu. Daje również do zrozumienia, że nigdy nic nie poprawia w swej sztuce, choćby go Szyfman prosił o to na kolanach, i tak, jak ją napisał, tak muszą ją grać aktorzy, nie opuszczając ani jednego słowa. Z wielką chęcią zapewnia również, że pisał ją cały rok, nie chcąc się oczywiście przyznać do tego, że „produkował" ją zaledwie sześć miesięcy, aby nie wzbudzać powszechnej zazdrości tak łatwemi zarobkami i nie prowokować interpelacji fryzjerów i krawców w Radzie Miejskiej, w celu obniżenia zbyt wysokich i luksusowych tantjem autorskich, nie licujących z zarobkami robotników, pracujących przy wywożeniu śniegu.

W rzeczywistości jednak — jak wiemy wszyscy doskonale — niema nic łatwiejszego, jak napisanie wesołej komedji. Trzeba tylko, oprócz czasu i papieru, mieć także temat, co ze względu na obfitość kryminalnych spraw, tudzież niezwykle bogate i bujne życie, jakie prowadzimy w Polsce, nie może nastręczać najmniejszych trudności. Bo o co, jak o co, ale o temat nie jest nigdy trudno. Kto ich nie widzi sam, temu w tej chwili usłużni i życzliwi znajomi ile zechce dostarczą do wyboru. Któryż bowiem z autorów dramatycznych nie otrzymuje przynajmniej raz na miesiąc niezwykle cennej a bezinteresownej propozycji:

— Mogę panu dać znakomity temat do komedji.

Przyznaję się z całą skruchą, że podobnych darów otrzymałem w życiu niemało, i to od kogo? Ha, ha! Któżby się spodziewał, że wśród tych poczciwców, zajętych ciężką pracą, znajdzie się aż tylu bezinteresownych filantropów! A jednak byli między nimi i fryzjer, i konduktor kolejowy, i masażystka, która mi masowała stłuczone kolano, i kilku poczciwych biuralistów, i nawet jeden dyrektor, z wielkiemi zdolnościami do handlu i przemysłu. A także zacne damy, młode i starsze, słowem, tylko notować, pisać i zarabiać! Każdy z tych tematów był wyjątkowej wartości i zapewniał autorowi niewątpliwy sukces. Krótko mówiąc, zacni ci ludzie dawali mi majątek w ręce, z którego jednak przez wrodzoną lekkomyślność nie korzystałem, nie chcąc niepoprawnym lekkoduchom odbierać dożywotniej renty. Jasnem bowiem było według nich, że mogliby sami napisać komedję, gdyby nie zapał i przywiązanie do golenia i masowania kolan. Temat bowiem to wszystko. Kto ma dobry temat, ten ma dobrą komedję, a kto ma dobrą komedję, ten robi na łatwowierze ludzkiej znakomity interes! Tylko, że z tymi tematami też jest niezupełnie wyraźnie, gdyż o dobry temat jest tak samo łatwo, jak jest trudno o dobrą sztukę. Naprzykład taki Szekspir! Brał sobie pierwszą lepszą zasłyszaną lub opowiedzianą historyjkę — i pisał na ten temat znakomitą tragedję! Plagiat?... Niekoniecznie!... Plagiat jest tylko wtedy, gdy — napisany utwór jest gorszy od pierwowzoru. Gdy jest lepszy, nikt nie może uwierzyć, że jedno z drugim ma jakiś istotny związek. Ot przypadek, i nic więcej!... Na tej zasadzie właśnie znakomici kompozytorzy wspaniałych fokstrotów pożyczają od Chopina, Mozarta, Czajkowskiego muzyczne tematy — i nikt nie ma do nich za to pretensji, gdyż wszyscy wiedzą, że ich fokstroty są znacznie lepsze. Jeżeli drugi utwór jest lepszy od pierwszego, pierwszy nie istnieje, jak nie istnieje autentyczna historja o nieszczęśliwych kochankach z Werony wobec Romea i Julji.

Widzimy więc, że w istocie rzeczy sam temat też nie decyduje o wartości sztuki. Cóż zatem jest to coś, co tworzy dobrą komedję? Cóż jest tem nasieniem, które, rzucone w glebę twórczości, wydaje pachnący kwiat? Czy obserwacja typów—czy umiejętność — jak mówi jeden z recenzentów warszawskich —„budowa fabuły i *kolejność* ustawiania scen"?... Napewno nie! To ostatnie zresztą zdanie stosować się może jedynie do maszynistów, gdyż właśnie maszyniści ustawiają scenę, a *kolejno* mogą to czynić tylko w teatrach Miejskich, mając dwie sceny w jednym gmachu. A może to, co głupawe kretyny nazywają „wzorkami", zwracając na one wzorki dobrotliwie uwagę nieorjentujących się w niczem autorów? Któż bowiem nie zna tych przemiłych idjotów, którzy wyobrażają sobie, że właśnie ich osoba, ich serce, jak u wróbla, ich głowa twarda, jak gałka laski, jest najlepszym „wzorkiem" dla komedjopisarza! Są przecież i tacy!

— Och, boję się pana! — mówi taka dziewica z wdziękiem zakochanej żony szympansa. — Jeszcze mnie pan opisze w swojej komedji!

W tej samej chwili, muszę to wyznać, autor pogrąża się w głębokich marzeniach, aby ją jaknajprędzej opisał posterunkowy za tamowanie

ruchu na szynach tramwajowych. Że w Polsce jednak, jak dotąd przynajmniej, każda kobieta jest, dla dobrze wychowanego mężczyzny, skarbem narodowym, a źle wychowanych autorów, jak wiemy, niema — więc uśmiecha się taki interlokutor (ładne słowo!), jakby wypił naczczo sok z dziesięciu cytryn i nie śmie grzmotowi tłumaczyć, że już to uczynił pewien amerykański autor, napisawszy farsę p. t. „Żoko".

Są to jednak zagadnienia, których tak zwana u nas przez przyzwyczajenie — inteligencja nie pojmuje wcale. Ponieważ wziąłem sobie za zadanie odkryć tajemnicę pisania komedji, aby nareszcie i wspomniany fryzjer, i konduktor, i urzędnik, i masażystka, mogli również coś uszczknąć z kasy dyr. Szyfmana i teatrów Miejskich, przyznaję, że najbliżej istoty rzeczy są ci, którzy, nagadawszy się o wzorkach i tematach, zaczynają przypuszczać wielce niepewnym głosem, że „chyba trzeba mieć do tego jakieś specjalne zdolności". Odkrycie to zawdzięczają autorzy kobiecie. Albowiem jedno kobieta wie dokładnie, że kapelusz zrobiony przez zdolną magazynierkę „lepiej jej robi do twarzy", a zatem możliwe jest, że i do napisania komedji także są potrzebne jakieś zdolności. Mężczyzna, jako z urodzenia większy praktyk w rzeczach sznapy i likierku, niż strojów, nigdy by nie wpadł na ten rewelacyjny pomysł. Natomiast oboje, czytając (bo i to się czasem zdarza) pożyczoną książkę, nie myślą nigdy o tem, kto ją napisał, uważając, że dobry polski Pan Bóg stworzył umyślnie taki gatunek warjatów, którzy piszą w Polsce sztuki i powieści, a to po to, aby oni, którzy są niezaprzeczenie solą ziemi, istotnie i naprawdę cennymi ludźmi, mogli mieć chwilę jakiej takiej przyjemności. Stąd pochodzi oburzenie na autora, jeżeli jego sztuka nie przypada im do smaku, jak kupiona, bo nie pożyczona gruszka. Gruszek bowiem się nie pożycza, a kartek na lody do cukierni nikt nie daje zadarmo.

Ostatecznie tedy, czem trzeba rozporządzać, aby przy tych nieodzownych dodatkach i warunkach, jak papier, pióro i atrament oraz czas i temat potrzebny do napisania sztuki, móc napisać dobrą komedję? Jak państwo myślicie?..

A może talent?! Jest to słowo śmiałe, talent bowiem, jest to coś, co jest wymagane w Polsce od każdego, a nie przyznawane nikomu. Naczelnik biura nie może nigdy wykrztusić przed prezesem, że ma w biurze zdolnego urzędnika. Urzędnicy bowiem mogą być tylko leniwi, albo pracowici. Recenzent woli napisać nawet, że sztuka jest dobra, niż, że jest napisana z talentem. Talentu odmawia się nawet tym, którzy bez niego nie mogliby istnieć. Młoda aktorka, która jedną rolą wybija się na pierwszorzędne stanowisko, ma wdzięk, czar, młodość i szczęście — ale nie talent! Najulubieńszem też pochlebstwem matoła, z jakim się zwraca do autora, który napisał dobrą sztukę, są słowa, wypowiedziane w tonie podziwu zmieszanego z żółcią:

— Ale pan ma szczęście! I ta nowa sztuka też ma powodzenie!

Powodzenie bowiem w ustach głupców jest szczęściem. Nigdy naturalną reakcją talentu i pracy! Talent jest największym tyranem kłamstwa, tak, jak jest największym wrogiem demokratyzmu. On właśnie najbardziej udowadnia, że ludzie nie są sobie równi, że mogą być równi jedynie wobec prawa, ale nie będą nigdy równi wobec Ducha. Dlatego szczęście — chociaż jak to się mówi powszechnie po sto razy na dzień — nie istnieje na świecie, właśnie to opłakane i pochowane, przywalone grobowym kamieniem banału ludzkie szczęście, zastępuje w pojęciu tłumu rujnujący doktrynę równości — talent, ów tajemniczy, nie z tego świata skrzydlaty pęd, wynoszący nielicznych wybrańców po za sferę ziemskiego padołu. I dlatego tylko ludzie talentu mogą się naprawdę rozumieć! Jeżeli się niecierpią, walczą z sobą. Ale pojąć, odczuć, uznać człowieka talentu nie może nigdy matoł, zajęty drobnemi geszeftami codziennego życia! Nie wierzy bowiem w tę niezwykle prostą prawdę, że rzecz interesującą może stworzyć tylko człowiek obdarzony talentem. Wynajduje dziesiątki i setki argumentów, aby udowodnić, że tak nie jest! Broni się przed rzeczywistością, której sam jest dowodem. Nie wie, że gdyby dobry Bóg był takim demokratą, jak p. Thugutt i stworzył absolutną równość — nie miałby potrzeby dodawać do niej miłosierdzia... Bo i pocóż by ono było potrzebne, gdyby artyści i ich, powiedzmy dla ostrzejszego kontrastu — krytycy, obdarzeni byli takim samym talentem?... Trzeba być dobrym dla złych.

A zatem wszelka sztuka poczyna się z talentu — i to jest najoczywistsza prawda na dzień dzisiejszy.

Stefan Kiedrzyński



Il Redentore
Leonardo da Vinci (1452—1519)

PÓJDŹCIE ZA NIM!?...

(Pod wrażeniem Głowy Zbawiciela Leonarda da Vinci. Medjolan, Pinacoteca di Brera).

Czyliż to: „Pójdźcie za Nim!" — chciał nam rzec artysta, który stworzył przecudną, niezapomnianą Głowę Chrystusa, Głowę lekko schyloną i spowitą mgłą bólu? Oczy, poza osłoną powiek, zdają się szukać w głębinach duszy źródła siły dla zniesienia ogromu mąk. Długie, jasnobronzowe włosy wiją się miękką falą wzdłuż smukłej szyi i otulają ramiona. Nos ma linje subtelne, — usta o pełnych wargach drgają siłą na tem młodem obliczu. A usta te nie wiedzą, co to śmiech! Jakiż ból w tych rysach! Oto Ten, który poznał całą gorycz świata; nie oszczędzono Mu ani jednego zawodu! Zbolałe Jego powieki świadczą o bezsennych nocach. — Oto Ten, który podźwignął brzemię wszystkich grzechów świata — opuszczony przez przyjaciół, — zdradzony nawet przez jednego z najukochańszych Swych uczniów! I nic buntu — tylko rezygnacja i korne poddanie... I jaki bezmiar poświęcenia...

Blask nieziemskiej myśli opromienia czoło. Aureola otacza umęczoną Głowę. Oto — w ludzkiej postaci — Bóg!

Na artystę, który stworzył tę Głowę Odkupiciela, opromienioną bólem, miłosierdziem i świetlanym blaskiem przebaczenia w chwilach najsroższej męki, spłynął snać promień łaski i rozpłomienił jego genjusz przejasnem światłem natchnienia. Gdyby nawet Leonardo da Vinci nie był stworzył nic, prócz tego jednego obrazu, mówiłby on i tak wiekom całym o wielkiej duszy i szlachetnej sile twórczej malarza.

Kiedy patrzymy na tę Głowę Zbawiciela, wszystkie nasze strapienia zdają nam się małe i marne, a cierpienia ludzkie milkną wobec tego bezmiaru bólu.

I ze czcią chylimy głowy w kornej podzięce przed niezapomnianem dziełem wielkiego artysty.

K. A.

Zaślubiny hr. Jana Zamoyskiego z Infantką Izabellą Alfonsą w Madrycie



Nowozaślubiona para w otoczeniu gości weselnych: Adam Zamoyski, Infantka Izabella, ks. Sanguszko, ks. Jan Saski, infant Don Carlos, ojciec panny młodej, infantka Victoria, córka króla, p. Zamoyska, matka p. młodego, Henryk Grocholski, infant Don Gonzales, syn króla, król Alfons III, infantka, żona Don Fernanda, inf. D. Alfonso, panna młoda, infantka Eulalja, inf. D. Fernanda, księżniczka Braganza, Jan Zamoyski, ks. Ranierowa de Bourbon, ks. Braganza, synowie Don Carlosa, królowa, infantka Orleańska, infant Alf. Orleański, infantka Beatrice, infantka, żona Don Carlosa, ks. Shenier de Bourbon, infant D. Juan, infant D. Jaime, ks. Braganza, ks. Asturji, poseł Perłowski, p. Sobańska, ks. de Guise, radca Tarnowski

Obrzęd zaślubin hrabiego Jana Zamoyskiego i Infantki Izabelli Alfonsy, siostrzenicy króla Alfonsa XIII, odbył się w Madrycie w dn. 9 b. m. Na uroczystość tę przybyli najbliżsi krewne Infantki, ojciec jej Infant Don Carlos, oraz macocha z domu ks. d'Orléans, liczni członkowie domu Bourbon - Siciles, Księstwo Janowie Sascy, Ks. de Guise, małżonka pretendenta do tronu francuskiego, Księstwo Braganza, oraz kilkanaście innych osób z rodów panujących.

Ze strony pana młodego przybyła jego matka, pani Karolina Zamoyska z domu de Bourbon-Siciles, jego siostry, hr. Adam Zamoyski z żoną, Ks. Sanguszko, hr. H. Grocholski, oraz hr. Władysław Sobański z żoną.

W dn. 8-ym marca odbyło się w pałacu królewskim uroczyste podpisanie intercyzy ślubnej w obecności rodziny królewskiej i Posła Rzeczypospolitej Polskiej. Nazajutrz rano w kaplicy pałacowej Kardynał Prymas udzielił młodej parze błogosławieństwa ślubnego. Świadkami panny młodej byli synowie króla oraz jej bracia, zaś pana młodego Poseł Perłowski, Ks. Raniero de Bourbon - Siciles, Ks. Sanguszko i hr. Henryk Grocholski. Następnie odbyło się śniadanie dworskie, podczas którego król zwrócił się do posła polskiego, wyrażając nadzieję, że Polska serdecznie przyjmie jego bliską krewną i że Orzeł polski coraz wyżej i wspanialej będzie wzlatał.

Ze względu na żałobę dworską, która została zdjęta tylko na dzień ślubu, poselstwo polskie nie mogło podejmować u siebie ślubnego orszaku.

Jest to już trzecie małżeństwo, które łączy rodzinę Zamoyskich z rodziną Bourbonów Obojga Sycylji. Matka nowożeńca jest z domu księżniczką Bourbon, a jedna z jego sióstr zaślubiła przed paru laty księcia Regnier Bourbon.

Hr. Adomostwo Zamoyscy, którzy przybyli do Madrytu na obrzęd ślubny, byli przyjęci przez króla Alfonsa na prywatnej audjencji. W zamku królewskim odbył się na ich cześć obiad.

Wszyscy zaproszeni na obrzęd ślubny otrzymali w podarunku książkę do nabożeństwa, specjalnie na tę uroczystość wydaną.



Hr. Jan Zamoyski i Infantka Izabella



„Przestępcy" F. Bruckner: akcja odbywa się na dwuch kondygnacjach sceny

SEZON TEATRALNY W BERLINIE

Przecież Berlin, ze swojemi pięćdziesięcioma teatrami, przy swoim kulcie sztuki powinien stanowić prawdziwe dorado dla artystów scenicznych i miłośników teatru! Tak i nie, kochani: czasami się bowiem „uda" przedstawienie, czasami uda się nawet sztuka. Nie — bo Bogowie na Berlin niełaskawi — Max Reinhardt po tournée scenicznem po Ameryce (i mieszkaniu w pałacu rzymskim w N. Y. City u Mr. Otto H. Kahna) sięga po laury filmowe w Hollywood. Oby mu się nie powiodło! życzą pobożnie adepci mistrza, tem bardziej, że w teatrach berlińskich Reinhardta panuje interregnum, po ustąpieniu zasłużonego dr. Roberta Kleina, który żelazną ręką ujął rozbrykaną sforę gwiazd scenicznych i dał nam sto pięćdziesiąt razy świetnych „Przestępców", z których każde przedstawienie było nie gorsze od premjery. Lecz o tem — poniżej. Pamiętajmy raczej, że wszechpotężny biały ekran coraz groźniejszy się staje dla prawdziwej sceny; że, jeśli się wytyka „największej artystce niemieckiej" Elżbiecie Bergner skromne dwa tysiące marek gaży dziennej (i to nie zawsze!), a drugiemu Maxowi - Pallenbergowi jeszcze skromniejsze tysiąc pięćset, to czemu, proszę państwa, nikt nie pomstuje na osiem tysięcy dolarów tygodniowo Emila Janningsa, który się przecież, jako ś. p. aktor teatralny, nie umywał do Wernera Krausa, Alberta Bassermana i tylu, tylu innych...?



Fritzi Massary

*

No tak, niewątpliwie nie jest to wszystko jedno, czy gra się przed pięćset lub tysiącem widzów, czy dyrekcja musi zdzierać za garderobę i program i obcinać głodowe pensje małych aktorząt, grzejących się w blasku kinkietów i słońca „Prominente" — a wszystko po to, by się przedstawienie skalkulowało; czy też eksportuje się do Chin i do Guatemali, do Pińczowa i Ryczywołu strasznie okrutnych piratów z Los Angeles i niebiańsko słodkie dziewczyny z Palm Beach...

*

A jeśli minister skarbu najbogatszego państwa świata rozpoczyna oficjalny raport od (starego notabene) dowcipu, zaś jedynie w Polsce nie chcą brać na serjo smutnego Pierrota, to nie dziwmy się, iż nie kino podciągnęło się na wyżyny teatru, ale teatr spadł do poziomu kina, że na jedno przedstawienie poważne przypada dziesięć mniej a dwadzieścia całkiem niepoważnych, i że zaciera się granica pomiędzy koturnową tragedją a płaską (bez obcasów — jak do tenisa) — grotesko-farsą. Stąd kunszt aktora i reżysera, owijający się jak bluszcz dookoła banalnej i słabej akcji; stąd często treść utworów dramatycznych à la libretto operetki; a jeżeli tu i owdzie tli się jeszcze boska iskra, to święto takie obchodzi się w zacisznem gronie i zachowuje się „kwadrans dla duszy" na użytek własny. Chyba, a to zmienia całą sytuację, że wywiąże się przytem skandalik, że np. libertyńska komedja Hasenclevera o „Małżeństwach, zawieranych w niebie" przysporzy autorowi — obok tantjem — proces o bluźnierstwo, a główne role w tej oryginalnej sztuce kreują takie asy, jak Kraus (Pan Bóg!) i Carola Neher, wdowa po ś. p. Klabundzie, słodka Greta Mosheim e tutti quanti...

*

Dlaczego, spyta czytelnik (czytelniczka nic jeszcze nie „zarzuca") robi pan conférenciera a nie referenta? Dlaczego sypie mi pan okruchy, zamiast powiedzieć w dwustu wierszach dokładnie o tem wszystkiem, co grano przez pół roku w pięćdziesięciu teatrach? Dlatego, łaskawco, żebyście państwo mieli świadomość, iż właśnie chodzi o okruchy; a zresztą — rozpoczynam sprawozdanie.

*



Tancerka Marjanna Winkelstern

Więc: kryzys teatralny, o którym wszyscy wiemy, doprowadza raz po raz do wybuchu rewolucji. Młody reżyser, Erwin Piscator, zadziwił w swoim czasie publiczność berlińską niezwykłemi pomysłami scenicznemi. Jako dyrektor, przetransponował kino i produkcję przemysłową „na taśmie bieżącej" na deski sceniczne; wszystko zaprawił tendencją bolszewizującą i w rezultacie miał na galerjach komunistów, śpiewających trzecią międzynarodówkę, w parterze zaś burżujów z Kurfürstendammu, którzy przyszli popatrzeć i posłuchać, jak się na nich będzie wymyślać. Reformy Piscatora, reżysersko ciekawe, w tendencji jednostronne, niepoparte odpowiednim repertuarem, doprowadziły do upadku ambitnego dyrektora. Posiew jego jednak kiełkuje, łącznie z innemi wpływami, m. in. występów gościnnych Aleksandra Granowskiego, z jego żydowskim akademickim teatrem z Moskwy. Teatr rewoltuje przeciw ustalonemu szablonowi. „Wesołe kumoszki z Windsoru" grane są w strojach niemal współczesnych, „bohaterowie" noszą monokl i białe getry oraz kwiaty w butonierce. Szekspir — większa moda w Niemczech i w Polsce, niż w Anglji — cieszy się wogóle wielką popularnością. Takie modernistyczne przedstawienia (też: jazz-band i „girlsy" w Operze) wywołują protesty przeciw „bolszewickiemu teatrowi" ze strony tych, którzy nie mogą pogodzić się z Hamletem w smokingu oraz z mundurami, będącemi niemą a zarazem krzyczącą



Lucie Höflich i Hans Albers

satyrą na ostatnie lata ostatniego Kajzera. Innym nie podoba się czerwony ołówek, kreślący 10 aktów „Henryka IV" w ten sposób, że dramat ten stał się strawny na jeden wieczór (— zresztą eksperyment nienajnowszy —); w każdym razie stary Szekspir (cały czy okrojony) o niebo przewyższa nowych koryfeuszy, blamujących się przeciętnostkami à la Dorota Angermann, nazwisko uwiecznione przez Gerharta Hauptmanna, ale nie naodwrót.

*

Rekapituluję: rzeczy „klasyczne" modernizuje się ewo- i rewolucyjnie. W sztukach „modern" pokazuje reżyser, co umie. Wielkie rewje ustępują rewjom z domieszką satyry; stare operetki przerabia się na pół-rewje. Parę przykładów wyjaśni te tezy:

*

Pod koniec ubiegłego sezonu — i co gorsza podczas ferji letnich — zadziwił mistrz Reinhard cały Berlin swoim kunsztem teatralnym, nie dramatycznym bien entendu! Z tournée po Stanach Zjednoczonych przywiózł banalny tekst „sztuki" p. t. „Artyści", która rozgrywa się za kulisami i daje możność rozszerzenia ram milieu, według uznania inscenizatora. Reinhardt zaangażował oprócz artystów teatralnych — artystów variété. Tak więc obok Grety Mosheim (potem rolę dublowano) i Sokołowa — aktorów, wystąpiła cała plejada pierwszorzędnych artystów; epizody zakulisowe stały się cyrkiem-variété: tancerki naprawdę tańczyły, murzyn był naprawdę najlepszym tancerzem-akrobatą w Berlinie, chinka występowała przedtem jako solistka w pierwszorzędnem établissement, a całość została rzucona z rozmachem wielkiego talentu reżyserskiego, wtłoczona w wir sceny obrotowej i tuszująca pseudo-sentymentalną historję o zmiennych kolejach pożycia pary aktorskiej: tragicznego komika i niewiernej westalki.

*

Podobnym, jeszcze znamienniejszym przebojem obecnego sezonu są „Przestępcy" tajemniczego autora, względnie spółki autorskiej, ukrywającej się pod kryptonimem Ferdynanda Brucknera. Sztuka super-realistyczna, wykazująca starą prawdę, że wszyscy jesteśmy właściwie przestępcami, ale karani bywają zwykle niewinni. Na pierwszym planie dwa wspaniałe typy: bezrobotnego donżuana (Hans Albers) i kucharki — jednej z jego kochanek, która najprzód morduje rywalkę, potem zaś zwala winę na ubóstwianego amanta (Lucie Höflich). Dramat obfituje w dalsze trupy, pełen jest ordynarnych scen, dramatycznie dobrze „zrobiony", reżysersko świetnie. Akcja rozgrywa się jednocześnie w sześciu miejscach. Reżyser i jego pomocnicy mają wdzięczne pole pracy.

*

Wielkie rewje wystawowe, powstałe przed z górą 10-ciu laty w Paryżu, importowane, począwszy



Karola Neher

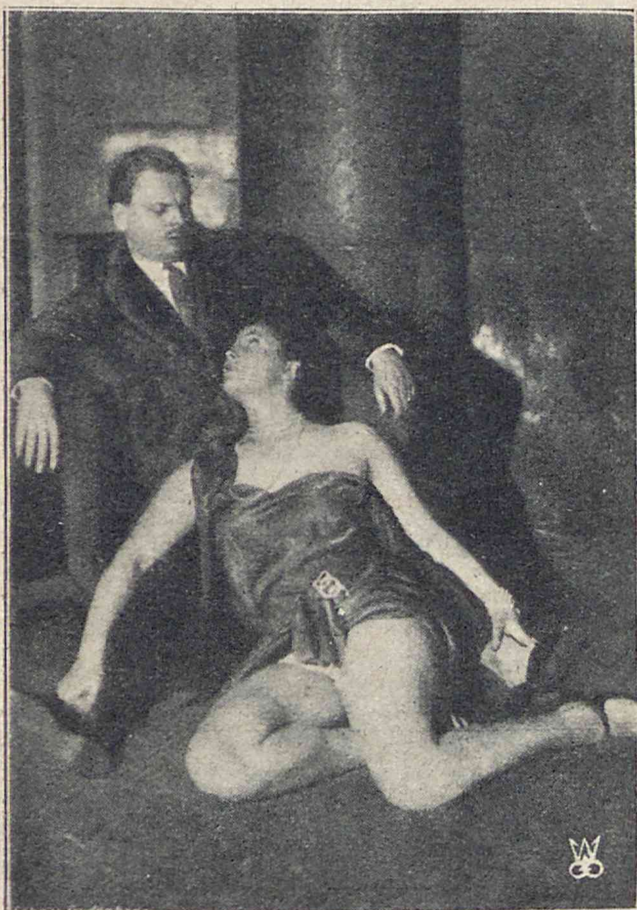


Elżbieta Bergner

od r. 1923, do Berlina — upadają. Publiczność dość ma już przepychu dekoracji i strojów, dość masowych nagości, Tiller-girls i t. p. konwenansów, o ile treść przedstawienia jest znikoma, a akcja pozbawiona ciągłości, często zaś nawet sensu. Znamieniem chwili jest jedna, druga próba rewji satyrycznej, dotychczas bez specjalnego powodzenia, ale już budząca zainteresowanie. Jedyny człowiek, zdolny do zapłodnienia kierunku „rewja - kabaret literacki" — Rudolf Nelson — już zdobył ponownie swoją bombonierkę, z której przed paru laty musiał się wyprowadzić (Money!). Spekulanci na nagościach liczą na klientelę z prowincji, względnie sami tę prowincję objeżdżają; w Berlinie rodzi się nowy styl, będący nawrotem do lat dawnych.

*

W dziedzinie rewji bardziej może, niż gdzieindziej, ma reżyser pole do popisu. Talent i indywidualność Erica Charella, pana w Gros-



Erhard Siedel

ses Schauspielhaus, święci triumfy we własnym domu i w tradycyjnem Metropol-Theater. Tu i tam „idą" operetki-rewje: „Casanova" starego Straussa i „Wesoła wdówka" Léhara. Obok starych ale dźwięcznych melodji — nowy kunszt sceniczny i nieco zmodernizowane libretto. Któż nie pójdzie na „Casanovę", którego śpiewa Tauber (obecnie dublowany)? Znak czasu: as operowy w operetce. Któż nie zechce zobaczyć „wciąż młodej" Fritzi Massary, jako wesołej wdówki? (Massary, podobnie jak Mistinguettka, ma widać tajemny eliksir młodości. Tem niemniej Pallenberg, mąż Fritzi, daje jej oficjalnie lat trzydzieści kilka) Charell stworzył swojem połączeniem pierwiastków starych i nowoczesnych typ rewji 1928/29. I tu tkwi może tajemnica powodzenia teatru: nie potrzeba nam studja kameralnego na wysokości Mount Everestu. Nie chcemy oczywiście też sceny, grzęznącej w pińskich błotach. Średnia wysokość w klimacie umiarkowanym jest dla ludzi normalnych najodpowiedniejsza.

Dr. Alfred Bzowiecki

Berlin, w marcu, 1929.

Wychowanie gospodarcze społeczeństwa

Nie można powiedzieć, by wszystkie warstwy naszego narodu jednako były uspołecznione. Raczej może należałoby stwierdzić, że tylko wśród inteligencji istnieją tego rodzaju cechy socjalne, świadczące o wyższym poziomie świadomości zbiorowej. Chłop nasz żyje dotychczas w ramach rodziny. Rozumie interes rodzinny, indywidualny; nie potrafi objąć ani należycie ocenić innych, szerszych związków społecznych. Dotyczy to w pewnej mierze ugrupowań społecznych wyższych, nawet ziemiańskich czy przemysłowych. Jesteśmy bowiem pod względem socjalnym narodem dopiero rozwijającym się.

Gospodarcze konsekwencje tego stanu są często ujemne. Nie posiadamy jeszcze patrjotyzmu gospodarczego, co nie jest dziwne, skoro po dziesięciu latach istnienia niepodległości mamy wielu ciemnych ludzi, uważających, że... polacy to nie są oni. Lud mawia, według świadectwa Al. Kurcjusza:

„Polakom tak pasuje rządzić, jak psu trawę gryźć!".

Zwierzają się też: „Powiadali ojce nasze, jak to polaki rządzili i pańszczyzną naród ciemiężyli; bodaj ich święta ziemia pochłonęła".

Lud stale podkreśla różnicę między sobą a... polakami. Zapewne głosy te pochodzą z wyjątkowo ciemnego chłopskiego zaścianka. Znamy przecież wielu chłopów, którzy wiedzą, że są polakami, a nawet sięgali po rząd dusz nad Polską. Istnieją jednak i tacy ciemni. Czy jest ich większość? Nie przesądzając odpowiedzi, trzeba stwierdzić, że chłop ma dotychczas mało zrozumienia dla spraw ogólnych. Gospodarczo jest zacofany. Prof. Wiliam I. Thomas, studjujący z ramienia Stanów Zjednoczonych stosunki chłopskie, w olbrzymiej pracy, zawierającej 2250 stronic druku, przeprowadza myśl, że polski chłop jest zasadniczo nieuspołeczniony, a jedynym hamulcem moralnym staje się dla niego rodzina. Tytuł tej pracy brzmi: „The Polish Peasant in Europe and America". Została ona napisana w celu wykazania niepożądanej emigracji naszych chłopów do Stanów Zjedn.

Nie ulega wątpliwości, mamy wiele do zdziałania na polu uspołecznienia szerokich warstw naszego narodu. Możeby wychowanie gospodarcze posłużyło za jaskrawy przykład, co czynić należy w tym względzie.

Prof. Władysław Grabski, b. prezes rady ministrów, minister skarbu i reformator naszej waluty, w książce pt. „Wychowanie gospodarcze społeczeństwa" pisze:

„U nas tak się stosunki układają, że mała płaca za małowartościową pracę staje się ideałem tak pracodawców, jak i robotników"...

Na szerokim świecie bywa odwrotnie. Pracodawca i robotnik są zainteresowani w maksimum wydajności. Musi też zaciekawić uwaga W. Grabskiego „Módz źle zrobić, mieć darowane wszelkie zaniedbania, to więcej w oczach ludu, niż dobry zarobek"...

Zagadnienia intensywności pracy w epoce Tayloryzmu nie trzeba tłomaczyć. I to tembardziej, że... zawiódł nas w pewnym względzie sen o bogactwach naturalnych. Węgiel, nafta, drzewo — trzy surowce, w których pokładaliśmy wielkie nadzieje, bez intensywności, zmysłu organizacyjnego, pracy, nie dają wcale rękojmi bogactwa. Rzecz tę należy podkreślić i chwycić się wszelkiemi dostępnemi środkami budzenia świadomości gospodarczej w społeczeństwie. Będzie to skuteczne, jeżeli szkolnictwo nasze od góry do dołu zajmie się pracą nad wskazywaniem istoty naszego upośledzenia, niedorozwoju ekonomicznego. Dużą rolę odegrać winny też związki i organizacje, tak przemysłowe, rolnicze, jak robotnicze.

Nie ulega bowiem wątpliwości, iż kraj nasz pod względem uprzemysłowienia, intensywności gospodarczej stoi w tyle w stosunku do Niemiec, Francji, Belgji. Mamy wszystkie warunki teraz, żeby utrzymać się na poziomie gospodarczym tych narodów. Trzeba tylko... nie żałować pracy.

Dr. Z. M.



Vincenzo Gemito

(z powodu zgonu wielkiego artysty)

W gorącą noc lipcową—jak opowiada świetny poeta neapolitański, Salvatore di Giacomo — zostawiono przed domem dla podrzutków w Neapolu różowe dzieciątko, owinięte w kawałek płótna. Zakonnica, która je wzięła natychmiast w opiekę, usłyszała tylko oddalające się szybko kroki.

W dwa dni później ochrzczono dziecko, nadając mu z powodu ustawicznego jęczenia nazwisko „Gemito", imię obrano: Vincenzo, niejako symbol późniejszych tryumfów i zwycięstw wielkiego artysty.

Z domu podrzutków dostał się Gemito do rodziny malarza pokojowego, nazwiskiem Baretta, który wkrótce umarł, pozostawiając żonę i przybranego syna w nader ciężkich warunkach materjalnych. Wówczas to pięcioletni Vincenzo, chcąc ulżyć przykremu losowi matki, począł sam zarobkować sprzedawaniem gorącej kawy na ulicach Neapolu.

Vincenzo, z natury dziwny i nerwowy, zmienił wkrótce swój zawód sprzedawcy ulicznego na chłopca krawieckiego. Poznał wówczas rzeźbiarza, od którego dowiedział się, że istnieje artysta, Emanuel Cagiano, który zarabia nieraz do 600 lirów dziennie. Chłopiec, który pałał żądzą wielkich zarobków, oszołomiony tą wiadomością, postanowił za wszelką cenę zbliżyć się do sławnego artysty, który wtedy właśnie



V. Gemito. Chłopiec.

pracował nad pomnikiem „Zwycięstwo". I istotnie, podstępnym sposobem udało się sprytnemu chłopcu wślizgnąć do domu Cagiana. Wzruszył artystę uporczywą prośbą: „Chcę się uczyć". Cagiano zatrzymał Vincenza u siebie, powierzając mu początkowo przygotowanie gliny. Ale dziewięcioletni chłopiec nalegał ciągle, że chce „fare



V. Gemito. Głowa dziecka

statue" (robić posągi) i podpatrywał mistrza przy robocie.

Pewnego dnia, w braku papieru i ołówka, zaczął Vincenzo rysować na murze. Cagiano, zachwycony rysunkiem, przedstawiającym jego wiernego psa, zaopiekował się gorliwiej uczniem.

Kiedyś, gdy pracownia opustoszała po zabraniu pomnika Zwycięstwa, zniknął Vincenzo bez słowa pożegnania czy podzięki dla swego dobroczyńcy i nauczyciela.

Dwunastoletni chłopiec zwrócił się wtedy do innego rzeźbiarza. Był to Stanisław List. W jego to pracowni zajaśniał talent Vincenza!

Na skutek namowy swego profesora piętnastoletni chłopak wziął udział w konkursie na popiersie Brutusa. Choć nie otrzymał nagrody, zyskał rozgłos i zwrócił na siebie ogólną uwagę.

Gemito pracował wiele i wytrwale, ale podobnie jak z pracowni Cagiana zniknął rychło i z pracowni Lista.

Niedługo miał już własną pracownię! W rzeźbach wzorował się Gemito najchętniej na świeżych wówczas wykopaliskach z Herculanum. Umiłowania klasyczne wycisnęły decydujące piętno na jego dziełach.

Cechuje go w pierwszych rzeźbach lekkość i gibkość ciał młodzieńczych, wdzięk, urok i silny wyraz południowej ognistości. Modeli szukał przeważnie wśród pół nagich wyrostków „scunizzi" i wśród rybaków o metalicznym połysku skóry.

Gemito był świetnym obserwatorem; oko i ręka nie zawodziły go nigdy!

Rzeźbę szesnastoletniego artysty „Il Giocatore" zakupił król Wiktor Emanuel I do zbiorów w Capodimonte.

Młodzieńcem już zajął się gorliwie znany malarz Domenico Morelli i prefekt Neapolu, Diomede Marvasi, którzy postanowili wykupić zdolnego artystę z wojska, składając za niego pewną sumę. Część tej sumy zebrano ze składek publicznych, resztę wypełniło honorarjum za popiersie Verdiego, wykonane w wciągu pięciu dni.

Verdi obraził się potem śmiertelnie na pięknego młodzieńca, który na uprzejmą propozycję maestra, by rzeźbił jego żonę, odrzekł wręcz: „non mi piace" (nie podoba mi się).

W roku 1877 dwudziestopięcioletni artysta wystawił w Salonie paryskim sławnego „Pescatorello", zakupionego potem do Bargello we Florencji. Zajmuje tam zaszczytne miejsce obok dzieł Michała Anioła, Donatella i innych sławnych mistrzów.

Paryż dał artyście dużo uznania, hołdów, znajomości i przyjaźni, (głównie z Meissonnier'em), a nie dał mu zadowolenia. Gemito tę-



V. Gemito. Biust.



V. Gemito. Cyganka z dzieckiem (rysunek)

sknił za miastem ojczystem, za swymi rybakami i „scunizzi" i za przybraną rodziną. Wrócił po paru latach do ukochanego Neapolu.

Sława Gemita wzrastała szybko. Wzrastała też i potęgowała się dziwaczność artysty, który bezpośrednio przed wykonaniem wielkiego zamówienia dla króla Humberta dostał pomieszania zmysłów. Przez lat osiemnaście nie wychodził wcale ze swego pokoju...

Wróciwszy do zdrowia, Gemito poświęcił się przeważnie rysunkowi. Jego „Cyganka z dzieckiem" przypomina śmiałością linji i siłą wyrazu genjalne rysunki Leonarda da Vinci!



V. Gemito. Chłopiec (bronz)

Zbiorowa Wystawa dzieł Gemita, urządzona latem ubiegłego roku w Neapolu, dała doskonały przegląd bogatej, wszechstronnej jego twórczości. Z pyłu zapomnienia wydobył go i światu znów objawił Mussolini, który przed dwoma laty wyasygnował wielkiemu, zdziwaczałemu artyście sto tysięcy lirów. Gemito stał się w ostatnich latach niejako legendarną postacią w Neapolu.



V. Gemito. Autoportret

Śmierć osiemdziesięcioletniego starca wywarła też tam i w całych Włoszech silne wrażenie. Umierając, zmęczony walką i chorobą, Gemito wypowiedział te znamienne słowa: „Ho tanto bisogno di dormire". (Tak mi potrzeba snu).

Fr. Szymanówna

POŻYTECZNE DZIEŁO

Piękna książka o Polsce M. i L. Barot Forlière pt. „Polska, nasza siostra" jest wielkim i natchnionym hymnem na cześć naszej Ojczyzny, wyśpiewanym przez rozkochaną w niej parę Francuzów. Hymn ten tem rozkoszniej dźwięczy dla polskich uszu, tem radośniej przenika do serc, iż nacechowany jest nietylko głęboką miłością, ale też i gruntowną znajomością naszego kraju i jego spraw.

„Jest w Europie" — głoszą pp. Barot-Forlière — „kraj, jeden jedyny, który nigdy nie walczył z Francją. W czasie dziesięciu wieków historji, historji nieraz męczeńskiej, rozświetlonej wspaniałemi zwycięstwami, to znów zamroczonej klęskami, którym niema równych, kraj ten nigdy nie sprzeniewierzył się swojej prostej i śmiałej dewizie: Semper fidelis. Zawsze wierny! Wierny swoim tradycjom, swojemu słowu, swoim przyjaciołom i ideałom".

Autorowie są pełni podziwu dla „tego rycerskiego, bohaterskiego i miłującego wolność narodu, który umie być równie wspaniały w męczeństwie, jak wspaniałomyślny w zwycięstwie". Więc miłują „kraj Białego Orła, kraj Kopernika i Kościuszki, Józefa Poniatowskiego i Szopena, Sobieskiego i Sienkiewicza".

W tej pięknej książce niema zdawkowych komplementów, dyplomatycznych duserów, ckliwych czułości. Mówiąc o dziejowej roli Polski, autorowie zaznaczają, że „w czasach, gdy Karol IX z okien Luwru strzelał do Hugonotów, gdy Hiszpanję, Włochy i Holandję zalewała fala krwi, wylewanej przez Inkwizycję, Polska głosiła wolność wyznań i umiała pogodzić z najgorętszą wiarą chrześcijańską najszlachetniejszą tolerancję".

Dobrze, że ukazała się wreszcie ta sprawiedliwa o nas książka tam, gdzie w ostatnich czasach wydano aż dwa obrzydliwe i plugawe o nas paszkwile. Nikczemna, ziejąca jadem oszczerstw książka René Martela pt. „Polska i my" oraz głupie bzdury H. Béraud są najlepszym dowodem, jak ważne zadanie spełniają dziś we Francji publikacje w rodzaju książki pp. Barot Forlière.

I podczas, gdy taki Martel cytuje listy Woltera do Fryderyka i Katarzyny, „jako wyraz duszy francuskiej", — zadośćuczynienie dla nas stanowi pełne miłości dzieło „Polska, nasza siostra".

Dzieło to — warto podkreślić — poświęcone jest pamięci Maurycego Schwoba, znakomitego dziennikarza i obrońcy sprawy polskiej we Francji, oraz p. Rozie Bailly, wielkiej „Różyczce", jakoteż Przyjaciołom Polskim. „Amis de la Pologne" (z paniami Bailly i Sękowską na czele) bardzo się przysłużyli sprawie polskiej wydaniem i propagandą tej publikacji, tak różnej — od panegiryków ckliwych, tak kojącej — w zestawieniu z podłemi paszkwilami Martelów i głupiemi bredniami Béraudów.



M. i L. Barot Farlière

Juljan Ejsmond



P. Minister A. Zaleski w drodze powrotnej z Genewy do kraju zatrzymał się w Lyonie, zaproszony przez Lyoński Komitet Alliance Française. Po inauguracji Targów Lyońskich przez Ferdynanda Buissona, na której wizytowali: Minister Zaleski, Ambasador Chłapowski, Radca Ambasady P. Potworowski, Konsul Kluczyński, Alliance Française zorganizowało na cześć P. Ministra Zaleskiego szereg manifestacji. Na naszej fot. widzimy przemawiającego Herriota na Akademji, zorganizowanej przez Alliance Fr. Siedzą obok: Minister Zaleski, Ambasador Chłapowski, Konsul Kluczyński, Schoell— tłomacz „Chłopów" Reymonta, Carré — Prezes Alliance Fr., Justin Godin i inni.

Człowiek gołębiego serca

Ś. p. Antoni Lange

— Szanowny Panie Redaktorze, proszę o zaliczkę...

Redaktor St. Krzywoszewski uśmiecha się przyjaźnie i sięga po bloczek.

— Ileż panu potrzeba?

— Trzy ruble i kopiejek czterdzieści siedem.

— Weź pan dziesięć rubli.

— Nie, proszę tylko o trzy ruble i kopiejek czterdzieści siedem.

— Tyle pisania... No, okrągłe pięć rubli...

— Oh, drogi p. redaktorze, — biada Lange. — Zrób mi pan uprzejmość. Jak mówiłem: trzy ruble i kopiejek czterdzieści siedem...

— Widzę, że w tem tkwi jakaś magja.

— Nie, tylko proszę pana, to mi wystarczy: praczka, bilet do Milanówka, dla kucharki pół rubla, jeszcze mogę się ogolić i na poniedziałek ocalę z rubla...

Antoni Lange, poeta, literat, uczony, mówił to głosem dobrodusznego dziecka. Był zresztą zawsze człowiekiem gołębiego serca. Nie miał wrogów. Jednakowo życzliwie, skromnie, odnosił się do wszystkich. Wiecznie opakowany gramatykami porównawczemi różnych żyjących i wymarłych języków, zapalał się tylko przy wykazywaniu zawiłych rodowodów słowa.

Żył w marzeniu. Czwarty wymiar był właściwą jego strefą przebywania. W licznych utworach beletrystycznych snuł swoje utopijne pomysły, niekiedy artystycznie bardzo ciekawe i budzące refleksje.



Ś. p. Antoni Lange

Jako poeta, przed laty trzydziestu budził podziw wirtuozerją wiersza. Słynny jest jego utwór, zaczynający się od słów:

„A więc pani nie lubi moich rymów zbyt prostych".

W sztuce naszej rymotwórczej jest to dzieło niezwykłe, okazowe.

Lange umiał też podbijać serca cichą melancholją. Jego poemat pt. „Pogrzeb Shelley'a" rozsnuł motywy panteistyczne. W poezji naszej dorobek twórcy „Pogrobowców" jest bardzo ważki. Zasłużył się on również, jako tłomacz poetów francuskich, angielskich, włoskich, węgierskich, hiszpańskich, greckich, łacińskich oraz indyjskich. Chlubną kartą w jego twórczości są wiersze rewolucyjne, drukowane w paryskiej „Pobudce".

Antoni Lange był warszawianinem z krwi i kości. Kochał naszą stolicę: tu ujrzał światło dzienne w r. 1862, tu dokonał pracowitego żywota w dn. 17 marca r. b. Rzetelnej jego zasłudze nie towarzyszyły pieszczoty losu.

Eust. Czekalski

MIASTO MOICH PRZYJACIÓŁ

Warszawa — marzec.

Każden karakowski człowiek marzy zawsze o kochanej „Warszawce". Panie, które wróciły ze stolicy, mówią z dumą: „To warszawski kapelusz, warszawskie uczesanie, warszawski ogon przy sukni, warszawskie niewyspanie". —Dla każdej młodej kobiety, zmuszonej mieszkać w Krakowie, Warszawa jest przyjacielem od serca, a Kraków starym, ponurym mężem, wiecznie zaziębionym nudziarzem, któremu zawsze czegoś brakuje. To niema węgli, to mu rura zmiękła, teraz znowu, jak jest cieplej, to grozi, że będzie drugi „Cud Wisły", bo nasza wierna rzeka wyleje, jak jeszcze nigdy nie wylała. Nie daje ludziom się cieszyć z nadchodzącej wiosny, która ma zresztą charakter lekkiej zimy, tylko radzi, żeby przygotowywać kajaki, wędki i siecie, paniom proponuje, żeby się uczyły pływać na wypadek, gdyby ich małżonkom podczas powodzi przyszedł do głowy dawno zapomniany koncept pławienia czarownic, jednem słowem, nudzi tak strasznie, że rozsądnie myślącej osobie nie wypada nic innego zrobić, jak uciekać do Warszawy i przynajmniej kilka dni spędzić zdaleka od niego. Ukochany przyjaciel zblizka traci trochę na uroku, ciągle mówi o tem, że nie ma pieniędzy i z rozpaczy zajada się cały dzień. Żadne chyba miasto na świecie nie odżywia się z taką pasją, jak Warszawa. Ten sam łysy panek, którego się widziało przed chwilą pochylonego zbożnie nad kieliszkiem wermuthu i kanapkami w „Kawiarni Europejskiej", siedzi już po godzinie w restauracji i uczy się na pamięć karty obiadowej. Naokoło niego uprzejmie pochyleni, słuchając z uśmiechem zrozumienia jego łakomych zwierzeń, stoją kelnerzy we frakach, jak naokoło królowej balu wyfraczona młodzież. Łysek ma powodzenie, młodzieńcy uwijają się naokoło niego z pośpiechem, najpiękniejsze zakąski, całe dno morskie przyjeżdża do niego na srebrnych półmiskach. — Panek nakłada okulary i patrzy homarom w oczy.— „Czy tylko aby całkiem świeże" — pyta się z niepokojem o swoje bezcenne zdrowie. — „Świeżutkie — brzmi odpowiedź.— Jaśnie pan się sam przekona, ale jabym radził sandaczyka „A la vieillard", albo jajeczko w łososiku: — (Kelnerzy tak samo zdrabniają nazwy potraw, jak dobre mamy, gdy namawiają swoje dzieci do jedzenia, mówią wtedy tak: „No, zjedz aniołeczku taki dobry rosołeczek z makaronikiem, a zato potem dostaniesz kotleciczka z kuruchny"). — Panek długo przymierza do talerza i widelca połacie nieżywych istot, poczem wzrok mu jaśnieje i mówi niewinnie: „Ja bym wolał flaki". — „Tak jest, flaczki" —poprawia uprzejmy maitre d'hotel i znika, a potem otumanionemu jedzeniem i piciem gościowi wystawi rachunek mniej więcej taki: flaki 3.20, flaczki 2.80, wódka 5, wódeczka 4.50, piwo 80, piwko 75, kawa 3, kawusia 2.50. W kącie restauracji siedzi piękna samotna pani o czarnych powłóczystych rzęsach, próżno wodzi błagalnym wzrokiem za usłużnymi młodymi panami, żadnemu z nich nie śpieszy się do niej. Kelnerzy są postępowi, podobają im się tylko panowie i to przeważnie w wieku balzakowskim (to znaczy tacy, jak Balzak na starość). — Bo i cóż taka modna dama, dbająca o figurę, może zjeść? — conajwyżej barszcz, a w najlepszym razie cotelettes de volaille (które powinny się pisać „weaulaile", bo są, jak wiadomo, zrobione z cielęcia i dlatego kosztują tylko cztery złote). Pod koniec obiadu przysiada się do samotnej pani jakiś znajomy pan, kelnerzy, bystrzy obserwatorzy, którzy dotychczas starannie omijali damski stolik, zaczynają się teraz nim żywo interesować. „Może pan szanowny pozwoli likieru do kawki? proponuje gościnny maitre d'hotel—mamy francuskie, angielskie, krajowe, zagraniczne, holenderskie". — Dama robi przeczący ruch głową, ale gościnny pan domu patrzy na nią tak brzydko, że słowa „ja nie mam ochoty pić likieru" nie przechodzą jej przez usta. Maitre d'hotel wie dobrze, że mężczyzna, choćby miał przy sobie bardzo mało pieniędzy, nie zrobi mu krzywdy i każe podać jakąś kosztowną butelczynę. Po wypiciu mocnej uperfumowanej gliceryny dama, który przyjechała widocznie z zapadłej wsi, prosi o swój rachunek.— „Rachuneczek"—poprawia kelner, poczem po chwili podsuwa zgrabnie biednemu panu, który się przysiadł na chwilę, rachunek, złożony z barszczu, barszczyku, kawki, kawusi, likieru i likierku — „proszę pana — utyskuje uczciwa dama z prowincji, — to niema sensu, żeby pan płacił za mnie cały rachunek". — Kelner patrzy na pana z uśmiechem, który momentalnie zmieniłby się na bardzo pogardliwy, gdyby pan pozwolił na to, żeby kobieta płaciła za siebie; pod tym względem kelnerzy na całym świecie są nieubłaganymi dżentelmenami. — Kobieta, choćby miała na sobie futro całe z niebieskich lisów, kapelusz i pantofle z jaszczurki, to ma zawsze według ich mniemania węża w kieszeni zamiast pieniędzy i tego nie jest im w stanie nikt wybić z głowy.

Każda osoba, która przyjechała na kilka dni do Warszawy bez względu na wiek i rodzaj, już na drugi dzień po przyjeździe czuje się fatalnie pod względem pieniężnym. To też cały hotel, w którym stanęła, jednogłośnie rozbrzmiewa telefonami treści finansowej. — Jeśli przyjezdna osoba jest przypadkowo literatką, to sprawa przedstawia się następująco: Połączona przez uprzejmą telefonistkę, po kwadransie czekania z miastem, pyta się naprzykład tak:

— Czy to redakcja „Śmiechu z niczego"?

— Telefon. — Proszę zadzwonić nr. 225-14.

Dzwoniąca osoba. — Czy to nr. 225-14?

Telefon (niezbyt uprzejmie). — A czego sobie pani życzy?

Dzwoniąca osoba. — Chciałabym porozmawiać z redaktorem w sprawie moich honorarjów.

Telefon (ponuro). — Proszę dzwonić 424-09.

Dzwoniąca osoba (łagodnie). — Czy to 424-09?

Telefon (głosem redaktora). — Pomyłka...

Jest to świetny system, który się powinno zawsze uprawiać wobec swoich wierzycieli. — „Czy to jest 15-40"? — pyta się naprzykład drżącym ze złości głosem sklep, któremu się jest winnym przeszło czterdzieści złotych. „Pomyłka" — odpowiada się spokojnie i wiesza słuchawkę.

Z Warszawy przywieźć można do Krakowa nietylko kapelusz, ale i dużo mądrości życiowych.

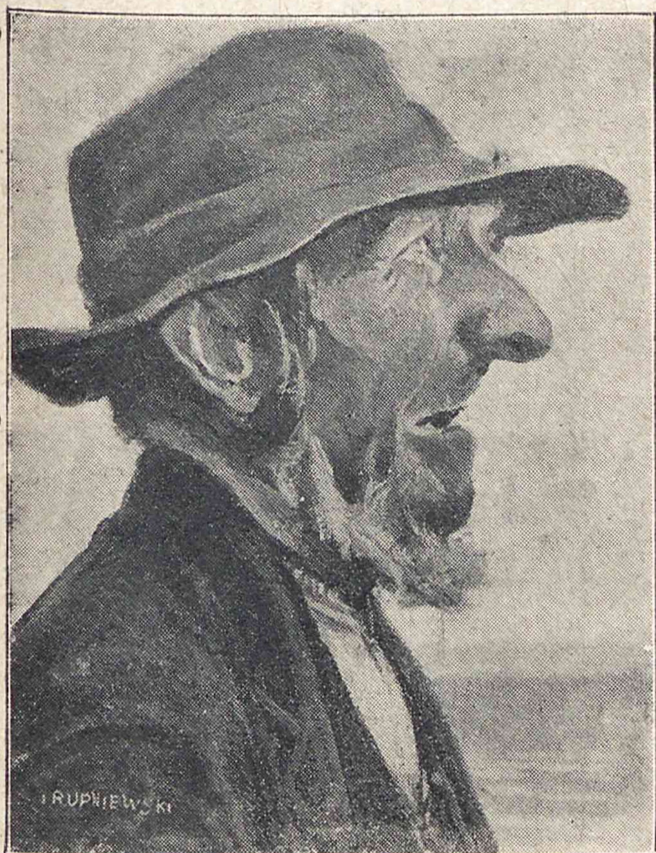
Z wydawcami sprawa ma się trochę inaczej. Odrazu podchodzą do telefonu, ale żaden z nich nie ma pieniędzy, wszyscy zbankrutowali, jak niejeden mąż, z propozycji wydania książki śmieją się tak, że aż się słuchawka trzęsie. Pomimo to są bardzo uprzejmi i nawet zapraszają krakowskiego gościa na obiad do restauracji.

Obiadek, było nie było, wypada na blizko sto złotych, które zrujnowany wydawca płaci z obojętnym uśmiechem. — Tak, stanowczo, wydawcy warszawscy mają mało pieniędzy, ale zato bardzo dużo gestu.

Piękne kobiety widać w Warszawie tylko w Kawiarni Europejskiej między dwunastą a drugą, a potem między szóstą a ósmą. Mają na sobie drogocenne zwierzęta i wysokie, lakierowane lub gumowe boty, w których wyglądają, jak sławny „kot w butach" z bajki. —Nikt nie wie, co robią te piękne aparycje do dwunastej i od ósmej wieczorem. Do teatru nie chodzą nigdy, tak samo nigdy nie widać ich w restauracjach, ani w kinematografach, ani na dancingach. Te futrzane wróżki w stumilowych butach są może najpoczciwszemi matronami poza godzinami występów w kawiarni? może hodują dzieci i męża, a może pisują artykuły społeczne, zaś najprędzej śpią od ósmej wieczorem do dwunastej w południe, a potem od drugiej do szóstej i dlatego wyglądają tak ładnie i zdrowo.

Magdalena Samozwaniec

Z DOROCZNEJ WYSTAWY W ZACHĘCIE WARSZAWSKIEJ



I. Rupniewski. Typ z Jastarni



J. Rupniewski. Rybak



„Ksiądz Baudouin, opiekun dzieci" *J. Broniewska.*

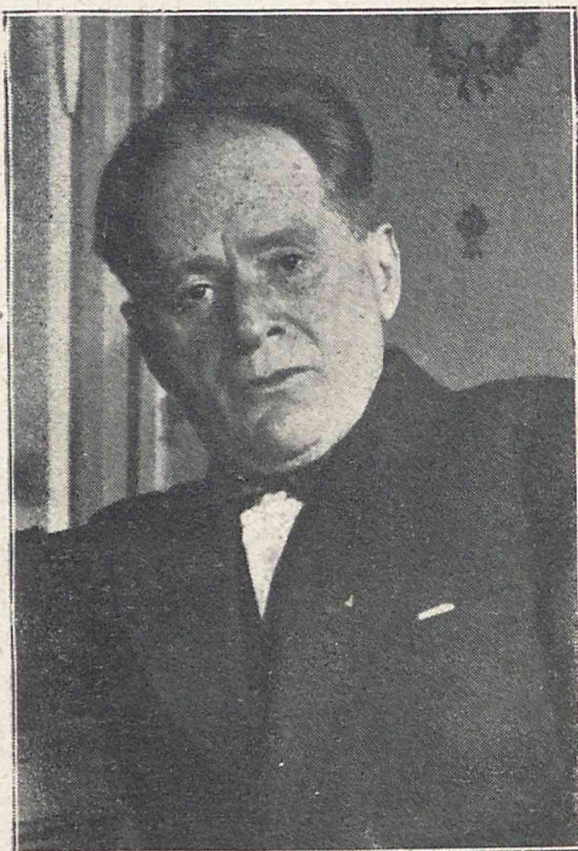


„Głowa Rycerza" *J. Broniewska*

MOWCY, KTÓRZY DOMAGALI SIĘ WYDANIA TRYBUNAŁOWI STANU B. MIN. CZECHOWICZA



Poseł Wyrzykowski (Wyzwol.)



Poseł Lieberman (P. P. S.)



Poseł Pieracki (K. N.)

DROBIAZGI TEATRALNE

KONCERT PADEREWSKIEGO W PARYŻU

Paderewski dał w Paryżu koncert na dochód Tow. Koncertów Konserwatorjum. oraz Stowarz. prof. Konserwatorjum. Koncert doznał szalonego powodzenia, przyniósł 150 tys. franków dochodu. Obdarowane tak hojnie instytucje paryskie zapomniały jednak o jakiemkolwiek uczczeniu znakomitego artysty. Jeden z tygodników paryskich („*Aux Ecomtes*"), pisze z goryczą, że nikt nie pomógł nawet sędziwemu pianiście w przywołaniu samochodu, gdy wyszedł z sali koncertowej.

— Czy warto jest być tak hojnym — dla obcych?

WIECZORY MISTRZOWSKIE W SALI KONSERWATORJUM.



Lucyna Robowska, znana pianistka, dała wieczór kompozytorski polski w sali Konserwatorjum, zdobywając sobie wielkie powodzenie u publiczności i uznanie u krytyki.

NOWA SZTUKA BERNSTEINA.

Tym razem dramat. I to w 11 obrazach! Dla Paryża, nawykłego do klasycznych trzech aktów, niespodzianka. Treść dramatu, bardzo silnego w napięciu, również zdekoncertowała publiczność. Bohaterka (gra tę rolę najlepsza artystka paryska, Gaby Morlay) usiłuje otruć męża, by zyskać wolność, by móc całkowicie oddać się kochankowi. I autor „Złodzieja" nie czyni z niej postaci odrażającej, budzącej wstręt: cierpienie czyni ją ludzką. Zaiste, trzeba wielkiego talentu Gaby Morlay, by sprostać intencjom autora. Wogóle dramat jest grany znakomicie: Bernstein może sobie na to pozwolić, w tym celu kupił teatr Veanderville i sam nim kieruje. I wreszcie tytuł sztuki: „Melo" jest jakby repliką pod adresem p. Gemier, który rok temu zarzucił Bernsteinowi, iż pisze melodramaty. „Melo" odtwarza skomplikowane stany duszy, trawionej namiętnością, wahaniem, a pozbawionej mocniejszych podstaw moralnych. Faktura zdradza pewne wpływy Wedekinda i ekspresjonistów. Niedarmo Bernstein w ostatnich czasach tak dużo podróżował po Niemczech.

TEATR I PUBLICZNOŚĆ

Robert Volkner, dyrektor teatru niemieckiego w Pradze, poruszył w czasopiśmie: „Urania" bardzo ciekawy i u nas w tej chwili również aktualny temat o stosunku między teatrem a publicznością.

Dyrektor Volkner powiada między innemi: „Aby wypełnić należycie swoją misję kulturalną, musi dyrektor teatru obok zrozumienia dla dzieł wartościowych pod względem artystycznym i estetycznym posiadać jeszcze doskonałą znajomość publiczności. Obecny stan finansowy zmusza teatry niejednokrotnie do grania przez pewien okres sezonu sztuk, jakich żąda publiczność i temi to wieczorami rozrywkowemi okupuje dyrektor możliwość wystawiania sztuk o głębszej wartości artystycznej".

„Sprawa teatru musi być zatem rozpatrywana" — twierdzi w dalszych wywodach dyrektor Volkner — „nie z lękiem i obawą, ale przeciwnie, jasno i otwarcie a przedewszystkiem z szerszego punktu widzenia".

Z MORSKIEGO OKA



Marja Ambroziewiczowa, interpretatorka tańców plastycznych, której poranek taneczny w Morskiem Oku zgromadził elitę towarzyską Fot. J. Malarski

ZGON NACZELNEGO WODZA ARMJI KOALICYJNYCH, ZWYCIĘZCY NIEMCÓW



Dnia 20 b. m. zmarł w Paryżu w 78 roku życia po ciężkiej chorobie Marszałek Francji, głównodowodzący armjami sprzymierzonemi Entente'y gen. Ferdynand Foch. Wygrał on największą wojnę w dziejach świata. Zwycięstwem swojem przyczynił się niemało do odzyskania Alzacji i Lotaryngji, do restauracji praw Polski, do restytucji Czech, połączenia Słowian południowych. W r. 1923 odwiedził Polskę. Nadano mu wtedy godność Marszałka Polski. Był też dekorowany wielkim krzyżem orderu „Virtuti Militari".

BROŃMY SŁAWY NASZYCH OJCÓW

Czarujący artysta teatru Polskiego, Jerzy Leszczyński, ujął się za moim biednym ojcem, któremu p. Witold Noskowski odmówił prawa do legendy.

Jestem pewny, że mój ojciec nie miałby z tego powodu zmartwienia, ale fakt pozostał faktem.

Rycerskie wystąpienie mojego siostrzeńca obudziło i we mnie rycerskiego ducha. Postanowiłem z kolei bronić ojca Jerzego i rozproszyć legendę o nieuczeniu się ról Bolesława Leszczyńskiego.

Legenda ta urodziła się z cichych gawęd dawnej Warszawy, która ubóstwiając Leszczyńskiego, chciała w ten sposób podnieść jego wielki talent do zenitu.

Nie jest to wcale paradoksem.

— Moja paniusiu, nie umie roli i tak gra.

Albo:

— Była pani na Synu puszczy?

— Ależ naturalnie.

— Co? Leszcz? Fenomenalny?

— Bajeczny.

— A wie pani, że on się nigdy roli nie uczy?

— Co pani mówi? A cóżto za genjusz.

Takie rozmówki słyszeć można było często.

Wkońcu i ja w to uwierzyłem.

Zresztą, jak głęboko ta fałszywa legenda wryła się w dusze warszawskiej publiczności, mamy świeży dowód.

Oto w książce (bardzo nawet interesującej) p. t. „Wczoraj", a która w tych dniach ukazała się na półkach księgarskich, autorka snuje nadal legendę o nieuczeniu się ról Leszczyńskiego.

*

Niezrównany Kostrzewski w jednym z numerów „Świątecznego Kurjera" zamieścił taki dowcip:

„Przechodzień mówi do żebraka:

— Mój kochany, jesteś zdrów, nic ci nie brakuje, dlaczego żebrzesz?

— Ach, litościwa osobo. Mój ojciec był dziadem, mój dziad był dziadem, toć i ja nim być muszę.

Ta dziadowska epopeja rzuciła mnie w fazę rozmyślań nad przyszłością. Spostrzegłem, że mój ojciec pracuje w tearze. Że moja siostra Honorata pracuje w teatrze, że mój wuj Kazimierz Hofmann pracuje w teatrze. Że moja ciotka Majeranowska pracuje w teatrze. Że mój szwagier Leszczyński pracuje w teatrze.

Do licha, toż ja mam więcej powodów, aby zostać aktorem, niż ten dziad do dziadostwa.

Wstąpiłem do teatru.

Uposażenie moje w pierwszym roku było naprawdę dziadowskie.

Otrzymywałem pięćdziesiąt kopiejek od występu, bez pensji. Ale grałem. Grałem z największymi artystami świata.

A nawet w jednej sztuce z Żółkowskim grałem tytułową rolę.

Tak jest. Ręczę, że p. Lorentowicz o tem nie wie, bo wspomniałby w swojej książce o teatrze.

Grałem w „Poczciwych wieśniakach..." jednego poczciwego wieśniaka. Miałem tylko jedno zdanie do powiedzenia.

Ale grałem.

Zaraz w pierwszym roku mojej scenicznej karjery teatr Wielki wystawił „Uriela Akostę".

Boże, co za obsada! Kotarbiński, Leszczyński, Rapacki, Prażmowski, Rakiewiczowa, Marcello, Trapszówna, ...i ja.

Po pierwszym akcie Leszczyński zawołał mnie do garderoby.

— Uważasz, te chłystki mówią, że ja się roli nie uczę. Przesłuchaj mnie.

Podał mi rolę.

— Z przyjemnością.

Zaczął:

— *Modlitwa z ust twych niechaj płynie w czczość.*

Twój oddech dżumy niech będzie siedliskiem.

Niech choroba twą pokręci kość.

Byś czołgał się, był dziatwy pośmiewiskiem, i t. d.

Całe przekleństwo wyrecytował bez zająknienia.

— Znakomicie — zawołałem. Co za pamięć!

— Uważasz — mówił dalej Leszczyński — ja stoję w głębi sceny, a sufler okropnie daleko. Więc ty sobie siędziesz za drzewkiem, tuż przy mnie i będziesz mi podpowiadał.

— Poco? — zawołałem. — Przecież pan umie, jak pacierz.

— Kiedy ty jesteś młody i głupi i nie wiesz, co to dramat.

— Jak pan chce.

— Więc rozumiesz, za drzewkiem. Za przystawką. Jeśli się zająknę, to gadaj.

— Ale dobrze, chociaż wiem, że nie będzie potrzeby.

Zaczął się akt trzeci.

Leszczyński — Santos w otoczeniu kapłanów wszedł na scenę.

— Baranie rogi pozdrawiają wiernych!

Głos jego brzmiał, jak dzwon Zygmunta.

Ja z rolą ukryty siedziałem za drzewkiem.

Rozpoczął się długi monolog Kotarbińskiego.

— *Ja chrześcijanin? Ma-ż mi tem szyderstwem.*

Otworzyć wyjście twa litość obłudna?...

Podczas tego monologu kapłani z Leszczyńskim stali w głębi sceny na wzniesieniu.

Leszczyński zwrócił się do jednego z nich.

— Wiecie, że Kazio Hofman przywiózł z Ameryki Rapackiemu biurko - łóżko.

— Co pan mówi?

— Uważasz, niby biurko, a jak chcesz spać, to pociągasz za sprężynę i wyjeżdża łóżko z materacem. Uważasz, w ten sposób.

W tem miejscu Santos zaczął mocno gestykulować. Ja siedząc za drzewkiem z przerażeniem szepnąłem:

— Panie Bolesławie, co sobie tam publiczność pomyśli.

— Ty operetkowicz, siedź cicho. Publiczność myśli, że mówię o torturach dla Uriela. Rozumiesz?

— Aha.

Uspokoiłem się.

Kotarbiński kończył tyradę:

*

Teraz my — rzekł Leszczyński. — Mały, gadaj.

Podniósł rękę do góry i stał jak posąg wykuty dłonią Buonarottiego. Ja z cicha szepnąłem.

— Modlitwa z ust twych...

Leszczyński milczał, tylko tupnięciem nogi zamanifestował swoje zniecierpliwienie.

Silnie zdenerwowany powtórzyłem głośniej:

— Modlitwa z ust twych...

— Kanaljo — rzekł żałośnie półgłosem Leszczyński, trzymając rękę w górze. Zwarjowałeś. Jaka modlitwa, kiedy mam przeklinać.

Pot kroplisty wystąpił mi na czoło.

— Tak, przekleństwo — odpowiedziałem z rozpaczą w głosie, ale zaczyna się od słowa „modlitwa".

— Aha, dobrze. — „Modlitwa z ust twych niechaj płynie w czczość? — ryknął jak lew.

Po akcie zjawiło się kilku melomanów.

— Ach ten Leszcz kochany, jak on grał! Ta pauza przed przekleństwem! Ciarki nas przechodziły. Ta wściekłość w tym wybuchu! To tupnięcie nogą!

— Mistrz, mistrz w każdym calu!

Brońmy sławy naszych ojców *szp.* 3

Tak, to był mistrz.

Grałem z nim potem w Poznaniu, kiedy był na występach.

Grał „Króla Lira".

Powtórzyła się ta sama historja. Na próbie umiał znakomicie, a na przedstawieniu tracił głowę.

*

Może nie wszystkich te fakty, o których wspomniałem i w których brałem czynny udział, przekonają.

W każdym razie zachwieją trochę prawdziwość tej fałszywej legendy. Ja spełniłem swój obowiązek. Ściskam dłoń Jerzego Leszczyńskiego, dziękuję mu, że dał wyraz szlachetnemu oburzeniu i łączę się z nim w słowach:

Będziemy bronić sławy naszych ojców!

Wincenty Rapacki

KRAJOWE MIĘDZYDZIELNICOWE ZAWODY NA STADJONIE MEJI JINGU W TOKIO



Książę Chichibu gratuluje zwycięzkiej drużynie „Kansai Team" Fot. Photo-Plai

Moda na rok 1929

Wielka ta „Niewiadoma" z Paryża wiele przynosi kłopotów i zmartwień rok rocznie. W chwili obecnej, odpowiedź na pytanie, co przyniesie wiosenna moda? ma ogromne znaczenie, gdyż wiosna daje wskazania już prawie na cały rok. Wszelkie zatem nowinki i wieści ze stolicy świata, chwytane są w lot, a pokazy kolekcji wiosennych, urządzane przez większe domy, są poprostu sensacją dnia dla naszych elegantek.

Głośne skandale „kopjowe" w Paryżu, a odpowiednio mniejsze, nasze warszawskie — ograniczyły ostatnio, grono szczęśliwych wybranek proszonych na takie pokazy. W ubiegłą sobotę przedstawicielki eleganckich sfer stolicy, miały możność zapoznać się z rewelacjami mody wiosennej na pokazie, który się odbył w salonach prywatnych p. B. Myszkorowskiego.

Nie sposób opisać wszystkiego dokładnie, co nam pokazał rodzimy nasz Patou. „Ujawnione" kompozycje, były to naprawdę arcydzieła kunsztu krawieckiego. Zachwycano się ogólnie: Pokusą, Kaprysem i Marzeniem, podziwiano: Zulejkę, Tęsknotę i Wiosnę; a prawdziwy szał zachwytu opanował wszystkich, gdy pokazano kompozycję: „Szał" Wyścigi lub Baśń.

Konkretyzując nasze spostrzeżenia, o wskazaniach wiosennych mody — to powiedzieć musimy, że właściwie rewelacyjnych zmian, tego roku moda nie przynosi. Pozostaje nadal modną sylwetka smukła, o wązkich biodrach... Ostatnie kolekcje cechuje nadzwyczajna, choć wykwintna prostota. Wszelkiego rodzaju wełny cieszą się wielkim wzięciem. Jeśli chodzi o kolor, to dominuje w tym sezonie tak zwany rezedowy (albo kapuzin), rywalizują z nim z powodzeniem: czarny i granatowy. Płaszczyki i wierzchnie okrycia, to jakby się umówiły, że nosić je będą tylko sportsmenki.

Wa-cki

NOWY KONSUL GENERALNY STANÓW ZJEDN. PÓŁN. AMERYKI



p. Feliks Cole, wraz z małżonką

Rozmowa towarzyska o J. Krishnamurti'm

Wytworna pani w wieku średnim. Piękna. Rasowa. Malutka rączka o jednym, jedynym pierścionku. Duża matowa perła oprawiona w platynę. Wśród wielu dorodnych kobiet, dobrze ubranych, z tradycją kultury, wyróżnia się irracjonalnym, tajemniczym, dobrym uśmiechem.

Towarzystwo jest mieszane. Przeważają głowy profesorskie, choć nie brak literatów, poetów, publicystów. Przewija się też sutanna, podszyta fioletem, zamigoce gors nieskazitelnej białości jakiegoś wyższego urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

O czem ludzie tu rozprawiają? Snują się plotki, domysły, towarzyskie komeraże. Na uboczu przy czarnej kawie wytworna pani o malutkiej, rasowej rączce tłomaczy:

— Niema w tem nic dziwnego. Nauka J. Krisnamurtiego jest piękna...

— Czyż nie jest piękna nauka, zawarta w Ewangelji?

— Tak, ale słowo naszego nauczyciela pragnie pogodzić wszystkie religje.

— Identycznie toż samo jest celem Rzymu: uczynić, by jeden był pasterz i jedna owczarnia...

— Czyżby pan był tak mocny w swoim chrześcijanizmie?

— Proszę nie suggerować mi swoich wniosków. Wyjaśniamy ideje... Organizacja i nauka — to dwie różne rzeczy.

— Mnie interesują tylko ideje...

— Mnie również. I dlatego nie widzę potrzeb zamiany.

— Nikt nie chce zmieniać. Teozofja pragnie tylko rzucić most zgody, pojednania nad różnemi religjami, kultami. Ułatwi to ludzkości obcowanie, współżycie. Zaginie jeden z ważnych motywów nieporozumień.

— Wojen religijnych teraz niema...

— Są jednak mocne antagonizmy rasowe...

— Też nie u nas. W Ameryce, w Stanach Zjednoczonych. U nas, w Europie, mamy spokój.

— Przyjdzie jednak chwila, że i Europa w sporze z rasą żółtą musi zająć stanowisko...

— No, to zajmiemy...

— Uprzedzamy ten wypadek. Chcemy nauczyć szanować kulturę rasy żółtej.

— Indje nie są mongolskie...

— Ale w większości wyznają Buddaizm. Kultura Buddyzmu musi pokonać inne wierzenia...

— A więc musi pokonać! Nowa krucjata azjatycka! Tym razem nie Dżingis-Chana, tylko Buddhy.

— Proszę mnie nie podchwytywać. Będzie to walka ducha. Czy pan interesuje się postacią Ghandi'ego?

— Dzielny człowiek.

— Nic pan więcej nie może o nim powiedzieć?...

— W tej chwili obawiam się, że musiałbym zająć stanowisko pro-angielskie. Skoro on ma być wyzwolicielem Indji do walki z Europą — to muszę znaleźć się w obozie ludzi wychowanych na Grecji, Rzymie i Chrześcijanizmie...

— Nie zna pan nauki J. Krishnamurti'ego?

— Czytałem jego „Szukanie", „Na szczytach prawdy", „W sercu mem jesteś" oraz „Królestwo szczęścia". Słyszałem mówiącą o nim sędziwą staruszkę Annie Besant. Młodzieniec ten, urodziwy i sympatyczny, nie zrobił na mnie wrażenia proroka...

— Bo go pan nie zna... Bo go pan nie widział.

— Istotnie, tylko z fotografji i z książek mogę o nim sądzić. O ile przypominam sobie, uczy on rzeczy prostych. Pamiętam jego zdanie: „Uważam, że powaga pozbawiona wesela, pogody i radości życia jest częstokroć sztuczna i należy jej unikać". W słowach tych tkwi racja. Nie jest to jednak objawienie, jak objawieniem nie jest wszystko, co mówi ten sympatyczny młodzieniec.

Wytworna pani uśmiechnęła się dobrotliwie, a może nawet z pewnego rodzaju wyższością. Wdzięcznie odrzekła:

— Piękna melodji nie odczuwa człowiek niemuzykalny. Sprawy ducha są muzyką. Trzeba mieć specjalny do tego zmysł.

— Może jestem niemuzykalny. Wolę jednak głos starych rybaków z nad Tyberjady...

— Nie oponuję panu. Niech każdy wybiera, co woli... Ja lubię melodję słów młodego Indusa z nad Gangesu. Zwie się on Krishnamurti.

— Ja tkwię w mądrości starych Greków, wywodzę się od Rzymian, a wierzę w mózg i współczesnych bohaterów nauki. Cóż dorówna poezji wibrujących fal eteru? Co może wzbudzić większy podziw, niż atom rozbity na cząstki i znów złożony przez genjusz ludzki?

Do stolika zbliżył się łysy, stary pan, znakomity matematyk. Rozmowa wkroczyła w regjony tajemnych znaków, symbolizujących ilości... Nawiązać nici djalogu o młodym proroku hinduskim już nie było można.

E. Cz.

NOWY DYREKTOR OPERY WARSZAWSKIEJ



Piotr Sternick di Valcrociata, znany i ceniony kapelmistrz, dyrektor Opery Poznańskiej, podpisał kontrakt na prowadzenie Opery Warszawskiej. Nowy dyrektor jest specjalistą od muzyki włoskiej. Operę Poznańską potrafił postawić na wysokim poziomie wymagań estetycznych

ŚWIAT SAMOCHODOWY

WYŚCIG SZYBKOŚCI

Dzieje automobilizmu zapisały znowu jedną krwawą kartę, nazwisko jeszcze jednej ofiary szału szybkości. Bywają rekordy dorzeczne i niedorzeczne. Są rekordy, dzięki którym rozwijają się pewne dziedziny sportu, komunikacji czy tp., lecz są również rekordy, które nie posiadają żadnego zgoła praktycznego znaczenia, a służą jedynie zadowolnieniu ambicji poszczególnych jednostek. Do takich rekordów należą rekordy szybkości w dziedzinie automobilizmu. Gdybyśmy nawet przypuścili, że będą kiedyś istnieć w świecie wprost idealne szosy samochodowe, to i tak jeżdżenie po nich z szybkością 300 czy więcej klm. na godzinę będzie praktycznie absolutnie niemożliwe. A więc przekraczanie pewnej granicy szybkości jest tylko sztukmistrzostwem, nakształt chodzenia po linie, bez praktycznego znaczenia.

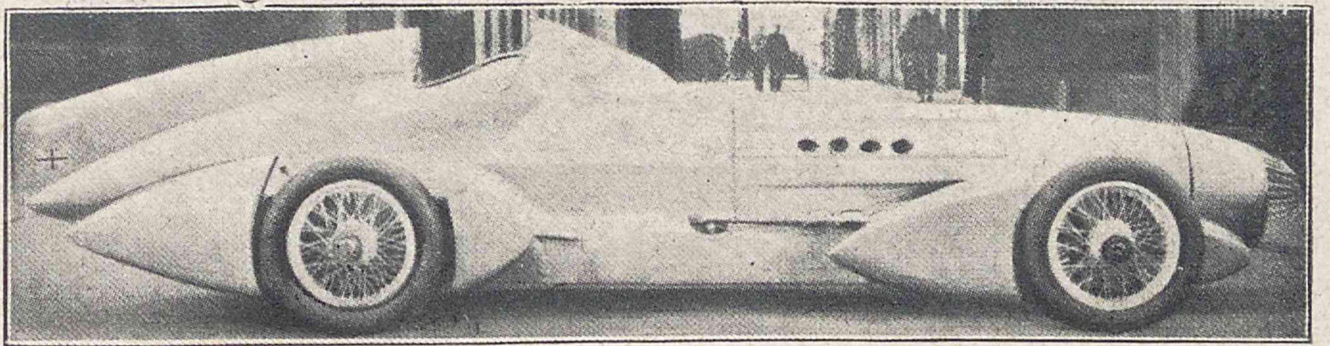
A jednak szał szybkości ogarnia z nieprzemożną siłą i konstruktorów i automobilistów, każe im ryzykować znaczne sumy na budowę niezwykłych aparatów, każe przedewszystkiem ryzykować życie dla zaspokojenia ambicji i zadziwienia opinji.

Do ostatnich czasów rekordzistą szybkości samochodowej był amerykanin Ray Keech, chełpiący się 335 klm. na godzinę. Sławę pierwszeństwa postanowili odebrać mu dwaj anglicy Campbell i Seegrave. Obaj zbudowali w tym celu samochody specjalnego typu, o olbrzymiej sile motorycznej, zwalczające wprost idealnie opór powietrza, tę największą przeszkodę w szybkiej jeździe samochodu. „Błękitny Ptak" Campbella jest skonstruowany na zupełnie innej zasadzie, niż przyjęty powszechnie typ samochodowy. Motory jego rozwijają siłę 900 K. P., karoserja stawia minimalny opór, przecinając powietrze, koszt prób i budowy wyniósł z górą dwa i pół miljona franków. Próby, dokonywane na ogromnej piaszczystej plaży w południowej Afryce, były bardzo pomyślne, i dowodziły, że wehikuł ten zdoła osiągnąć szybkość 350 klm. na godzinę.

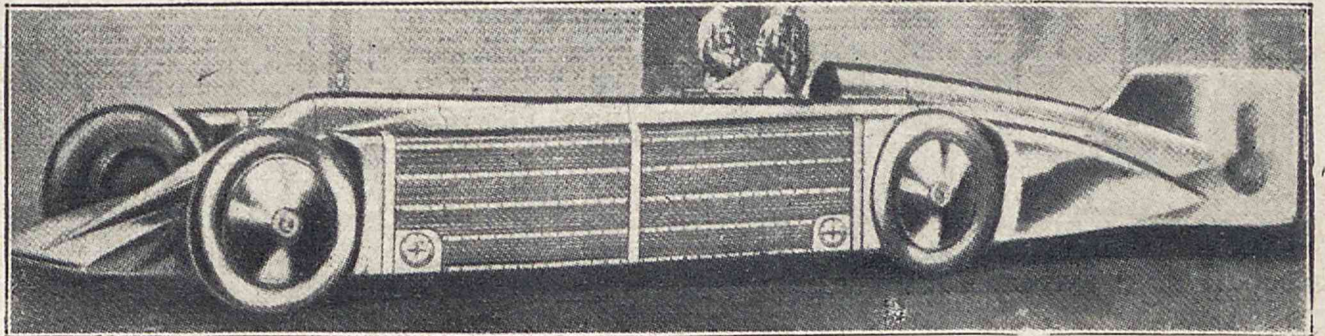
Zanim jednak Campbell wystąpił na arenę, aby zwalczyć istniejący rekord, współzawodnik jego Seegrave uprzedził go i zdobył pierwsze miejsce w wyścigu szybkości, osiągając 375 klm. na godzinę, to znaczy, większą szybkość, aniżeli wogóle posiadał „Błękitny Ptak". Rekordowy samochód Seegrave'a „Złota Strzała" został zbudowany przy finansowem poparciu grupy sportsmanów kosztem przeszło 2-ch miljonów franków. Karoserja o niezwykłym profilu kryje motor systemu Napier-Lion, dający 1.000 K. P. i złożony z 12 cylindrów, rozłożonych w czterech grupach. W tyle wozu znajduje się rodzaj steru, wzorowany zresztą na pomyśle Campbella. Oryginalnym pomysłem Seegrave'a jest rozłożenie radjatorów oraz specjalna konstrukcja ochładzająca, posługująca się lodem i mrożącemi substancjami.

Zdobyte przez Seegrave'a laury pobudziły do współzawodnictwa amerykańskiego automobilistę Lee Bible'a. Niestety, próba, przedsięwzięta przez niego na torze w Dayton Beach we Florydzie, zakończyła się tragicznie. Wóz, po osiągnięciu szybkości około 325 klm., uległ katastrofie, ponieważ kierownica, jak przypuszczają fachowcy, w pewnej chwili zawiodła. Samochód uległ zniszczeniu, a automobilista zginął na miejscu. Tragiczny wypadek spowodował odwołanie dalszych prób rekordowych. Czy jednak wyścig szybkości zakończy się tą ofiarą? Czy ambicja rekordzistów cofnie się choćby przed ceną krwi? Trudno w to uwierzyć.

St. I.



„Błękitny Ptak" Campbell'a



„Złota Strzała" Seegrave'a

Kiedy to będzie u nas?

Jeden ze znanych sporstmanów automobilowych francuskich zamieścił w paryskim „Auto" ciekawy opis przygody, jaka wydarzyła mu się w Orleanie, kiedy musiał zanocować w tem mieście. Wstawił on na noc do jednego z miejscowych garażów swój samochód i kiedy rano przyszedł, by go odebrać i jechać dalej, znalazł na klamce od drzwiczek swego wozu kartkę, a na niej taką notatkę:

Samochód pański jest oczyszczony;
Szyba wymyta i wytarta;
Radjator napełniony wodą;
Wszystkie gumy sprawdzone i napełnione odpowiednio powietrzem;
W zbiorniku znajduje się jeszcze 25 litr. benzyny;
Oliwa w zbiorniku odpowiednio wysoko.

(podpisano) Zarząd garażu.

Żadnej specjalnej opłaty, prócz normalnej za garażowanie w nocy, nie pobrano.

A co by było — u nas?

Zatrzymaj się, bracie, na podwórku czy w stodole na prowincji i pilnuj sam wozu, by ci budy, gum albo narzędzi nie pokradli — i płać potem słono... za garaż!

NOWY TANI SAMOCHÓD

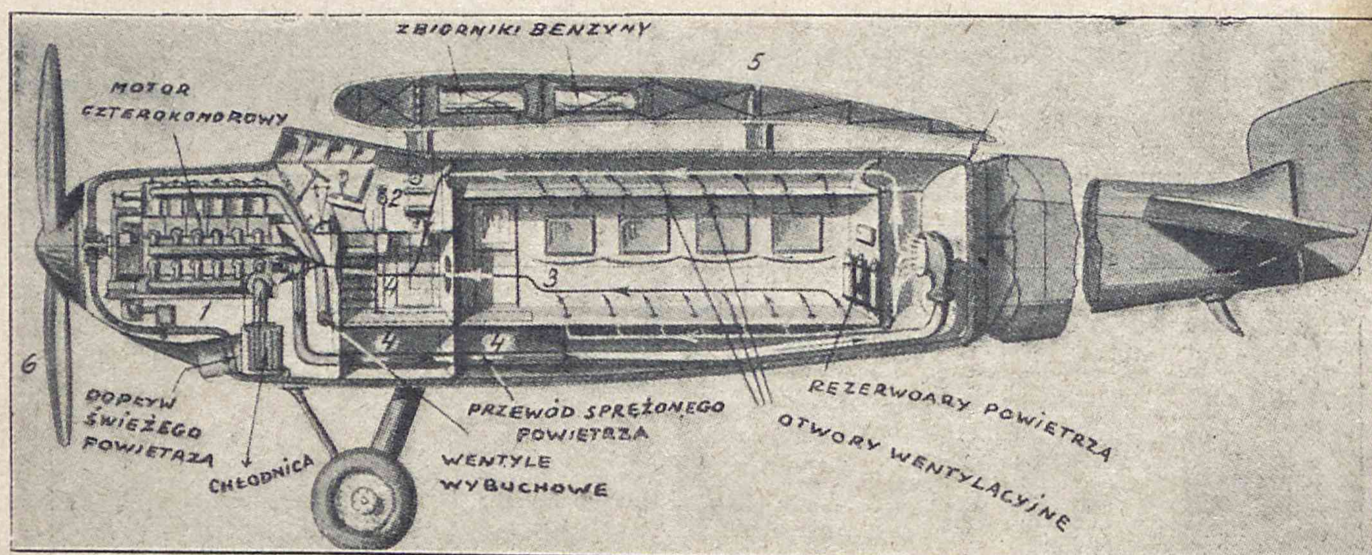
Za cenę 125 miljonów marek, t. j. około 250 miljonów zł. przeszło w ręce General Motors 80 proc. pakietu akcyj największej niemieckiej fabryki samochodów „Opel" w Rüsselheimie.

Zakłady te przystąpią w najbliższym czasie do masowej produkcji samochodów „4 P. S.". Cena jednego takiego samochodu ma wynosić zaledwie 3.600 złotych.

6.000 OBYWATELI AMERYKAŃSKICH ODBYŁO W ZESZŁYM ROKU PODRÓŻ PO EUROPIE WŁASNEMI AUTOMOBILAMI

Liczba amerykanów, którzy odbywają podróż po całej Europie w swoich własnych automobilach, zwiększa się z każdym rokiem. W roku 1927 podróż taką odbyło około 3,500, podczas gdy w roku zeszłym uczyniło to przeszło 6000 automobilistów. Podania o paszporty i t. d. w tym roku znamionują, że jeszcze większa liczba obywateli amerykańskich odbędzie podróż po Europie w swoich maszynach. Podróżnicy ci pozostawili w Europie z górą czterdzieści miljonów dolarów. Nic też dziwnego, że każdy kraj europejski czyni, co może, aby tylko zachęcić turystów amerykańskich do odwiedzenia ich.

Ciekawi jesteśmy, co też rząd polski uczyni dla automobilistów z Ameryki, którzy w tym roku zechcą przybyć do Polski na swych samochodach na wystawę w Poznaniu? Czy o tem odpowiednie czynniki pomyślały?



Projekt stratosferycznego samolotu pomysłu inżyniera A. Boernera. 1) Motory, 2) kajuta pilota, 3) pomieszczenia pasażerskie, 4) poczta i bagaż, 5) płaszczyzny nośne ze zbiornikami benzyny, 6) śmigło wysokościowe.

PODNIEBNE LOTY

NOWE DROGI ŻEGLUGI POWIETRZNEJ

Dzięki w niemałej mierze doświadczeniom, poczynionym podczas wojny, dzięki nieznużonym wysiłkom konstruktorów, dzięki wreszcie bohaterskim wyczynom pilotów, żegluga powietrzna przy pomocy samolotów rozwinęła się w stosunkowo krótkim okresie czasu do niebywałej doskonałości. Rozmaite centra światowe są dzisiaj połączone linjami lotniczemi; regularnie, wedle rozkładu jazdy krążące samoloty przewożą pasażerów, pocztę, bagaże. Ale — to „ale" istnieje zawsze, niestety — żegluga powietrzna w pewnym etapie zatrzymała się w rozwoju. Nie można już osiągnąć większej szybkości powietrznych podróży, nie można uzyskać lepszego zabezpieczenia się przed niespodziankami, grożącemi w ciągu przelotów, nie można nie oszczędzić w kalkulacji kosztów. Nadaremnie wysilają dotąd w tym kierunku swoje pomysły twórcze konstruktorzy i technicy.

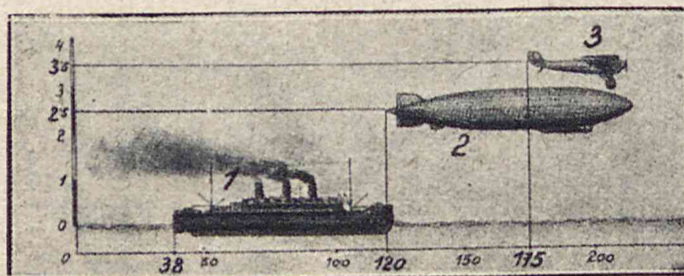
Jak wiadomo, podróże powietrzne odbywają się obecnie w wysokości do mniej więcej 3.000 mtr. Spotęgowanie szybkości lotu w tych wysokościach wymaga niestosunkowo wielkiego zużycia materjałów pędnych wobec wzrastającego postępowo oporu powietrza. Skutkiem tego nawet największe i najpotężniejsze, istniejące dotychczas samoloty, jak np. Junkersy, Dornier, Superwale itd., osiągają przeciętną szybkość lotu zaledwie około 180 klm. na godzinę. W takich warunkach zwłaszcza przewóz towarowy kalkuluje się nieporównanie lepiej każdą inną drogą, niż lotniczą.

Chyba żeby te drogi lotnicze były inne, aniżeli dotychczasowe, dogodniejsze, bezpieczniejsze, tańsze. Teoretycznie pomysł ten dawno już świtał w mózgach techników, zanim jeszcze pomyślano wogóle o jego zrealizowaniu. Nie ulegało wątpliwości, że lotnictwo przyszłości na dalekie przestrzenie musi zmienić się w przeloty na wielkich wysokościach. Nie troposfera, to znaczy atmosfera do wysokości mniej więcej 10 klm., lecz stratosfera musiała być terenem przyszłych podróży powietrznych. Nazwą stratosfery określa wiedza, jak wiadomo, warstwy powietrzne, sięgające od 10 do mniej więcej 80 klm. ponad powierzchnią ziemi.

Ta właśnie warstwa zapewniała lotnictwu niezwykłe korzyści. W tej wysokości nie znajdujemy już chmur, niema tutaj ani opadów deszczowych, ani zamieci śnieżnych, ani burzliwych wyładowań elektrycznych. A jednocześnie znacznie zmniejszona gęstość powietrza stawia samolotowi nieporównanie słabszy opór, niż w warstwach bliższych powierzchni ziemi. Jasno świecące słońce w ciągu całego dnia, roziskrzone gwiazdy na bezchmurnem niebie w ciągu nocy ułatwiają pilotowi orjentację, która, oczywiście, oprzeć się tutaj musi przedewszystkiem na metodach orjentacji morskiej, bowiem z tej wysokości wytyczne punkty na powierzchni ziemi są już mało dostrzegalne.

Stosunki atmosferyczne, panujące w stratosferze, poznała już nauka dość dokładnie. Znamy więc skład tych warstw, gęstość powietrza, temperaturę i t. p. Odnośne badania, które prowadził obok innych uczonych przedewszystkiem prof. Pictet przy pomocy małych baloników, zaopatrzonych w aparaty rejestrujące, sięgają aż do wysokości 33 klm. ponad powierzchnię ziemi.

Ponieważ przeloty stratosferyczne odbywałyby się mniej więcej w wysokości 15 klm., więc badania te wystarczają najzupełniej do ustalenia teoretycznych możliwości i do zaprojektowania powietrznych statków tego typu. Temperatura w tych warstwach atmosfery wynosi około 30° C. poniżej zera, a gęstość powietrza równa się zaledwie jednej piątej (20 procent) gęstości warstw przyziemnych. O ile więc chodzi o opór powietrza, to samolot, który w warunkach przyziemnych osiąga z pomocą swych motorów szybkość 180 klm. na godzinę, poruszałby się w tej wysokości przy tem samem zużyciu energji z szybkością około 300 klm. na godzinę. A więc przeloty na terenie stratosfery dają nietylko tę korzyść, że zabezpieczają samolot przed szkodliwemi wpływami atmosferycznemi, jak wicher, burze, mgły i t. p., ale również potęgują bardzo znacznie jego szybkość, zapewniają ekonomiczniejszą kalkulację lotu, ponieważ można powiększyć nośność ładunkową kosztem zapasów paliwa.



Szybkości parowca, balonu sterowego i dzisiejszego samolotu.

Oczywiście, przeloty stratosferyczne mają też i strony ujemne. Zmniejszone ciśnienie powietrza i niska temperatura uniemożliwiają człowiekowi przebywanie w tych warstwach powietrza bez należytego zabezpieczenia. Akcja zwyczajnego motoru spalinowego zmniejsza się znacznie przy dopływie tak rozrzedzonego powietrza. Wydajność pracy śmigła jest również niedostateczna, to też teoretycznie musiałoby ono mieć większy rozmiar, a skrzydła śmigłowe winny być ustawione pod bardziej ostrym kątem. Już te szczegóły wskazują, że dzisiejszy normalny samolot nie nadaje się do użytku w stratosferze.

Prototyp nowego statku powietrznego, którym w przyszłości latać będziemy na wielkich wysokościach, stworzył znany inżynier konstruktor A. Boerner, wynalazca motoru czterokomorowego. Dzięki odpowiedniej konstrukcji pomysłowy motor Boernera może być dostosowany do warunków, istniejących w danej wysokości atmosfery. Właściwe rozwiązanie problemu polega na anormalnem powiększeniu wymiarów śmigła. Jest ono obliczone na maksymalną wysokość i na pracę w rozrzedzonem powietrzu, to znaczy w warstwach powietrznych, znajdujących się o 15 do 17 klm. nad powierzchnią ziemi. W warstwach niższych, więc przy startowaniu samolotu w znacznie gęstszem powietrzu, śmigło pracować musi nieporównanie intensywniej.

Temu właśnie celowi służą cztery komory motoru. Na powierzchni ziemi i tuż nad ziemią wszystkie komory pracują nad poruszaniem śmigła, dając razem siłę około 900 K. P. Gdy w miarę zwiększania się wysokości opór powietrza maleje, komory rezerwowe zostają wyłączone, a gdy samolot dotrze do wysokości 15 klm. nad ziemią, dwie komory wystarczają najzupełniej, by zapewnić aparatowi szybkość lotu parokrotnie większą, niż w pobliżu ziemi.

Ze względu na znaczne rozrzedzenie powietrza, konstruktor powiększył również płaszczyzny nośne, mniej więcej o sto procent, ale pomieścił w nich jednocześnie zapasy benzyny, potrzebne do przelotu.

Kabina pilota, pomieszczenie pasażerów i hala motorowa są, oczywiście, hermetycznie szczelne, albowiem w tym statku, podobnie jak w łodziach podwodnych, trzeba sztucznie utrzymać odpowiednie ciśnienie atmosferyczne. Drzwi i okna są więc uszczelnione i otwierają się do wnętrza, skutkiem czego różnica ciśnienia powietrznego dociska je do gumowych listew.

Z chwilą, gdy zapasowe komory motoru przestają poruszać śmigło, konstruktor wyzyskuje je do zgęszczania powietrza. Dzięki temu powiększa się stale rezerwa powietrzna wewnątrz samolotu, a jednoczesne podniesienie się temperatury, uzyskane przez zgęszczanie powietrza, ogrzewa kajutę polita i pomieszczenie pasażerskie. Teoretyczne obliczenia wykazały, że przy zewnętrznej temperaturze 44° C. poniżej zera będzie można uzyskać wewnątrz statku ciepłotę 14 do 18 stopni. System kaloryferowo - wentylacyjny jest obmyślony istotnie doskonale.

Skonstruowany tak samolot posiada wszelkie szanse, by stać się środkiem komunikacyjnym przyszłości. Szybkość jego będzie znacznie większa, niż kursujących obecnie samolotów. Bezpieczeństwo podróży w stratosferze, gdzie niema ani burz, ani huraganów, nie może podlegać wątpliwości, statek bowiem uniezależnia się wprost od wpływów atmosferycznych.

St. I.


J. Franaszek
TOW. AKCYJNE
TELEFON 1-72
obicia papie-rowe
J. NORBLIN.

Na marginesie naszego życia

UPADEK, CZY STAN NORMALNY?

Ktoby chciał nabrać przekonania o naszem życiu państwowem czy gospodarczem z debat sejmowych, musiałby stwierdzić, iż od dziesięciu lat ojczyzna nasza... ginie. Wszystko jest przecież złe: od rządu, po ostatniego wyrobnika. Że to się wszystko jakoś trzyma kupy, chyba należy przypisać działaniu sił tajemniczych, magicznych.

W życiu naszem gospodarczem też znajdujemy się stale na pochyłości niebezpiecznej, bo... któż nie biada nad stanem ekonomicznym w naszem państwie. Wszyscy jednak muszą przyznać rzecz niewątpliwą: przez dziesięć lat własnej gospodarki świadomość nasza rozszerzyła się znacznie, pogłębiła, zorganizowała w znaczeniu gospodarczem. Przed kilku laty prowadziliśmy gospodarkę prawie anarchistyczną: nie znaliśmy własnych zasobów, nie orjentowaliśmy się w rynku wewnętrznym, nie panowaliśmy nad konjunkturą...

Wszystkie nasze traktaty handlowe były zawierane w okresie nieświadomości, braku orjentacji gospodarczej. Należy uważać za wielką zdobycz, że po dziesięciu latach poznaliśmy strukturę, mechanikę i technikę naszej międzynarodowej akcji wymienno - towarowej. Stało się to dzięki zainteresowanych sfer przemysłowych oraz czynników państwowych. Obserwacje placówek konsularnych, statystyki graniczne, studja biur przemysłowo - handlowych doprowadziły do klarowności sądów. Obecnie nasze ministerstwa, czuwające nad gospodarką i życiem ekonomicznem, posiadają konkretną świadomość intensywności, uprzywilejowania, dysproporcji czy harmonji klauzul traktatowo - handlowych.

Działalność, którą obecnie rozwija „Liga samowystarczalności gospodarczej", winna przynieść dalsze korzyści. Obudzić się winien nasz patrjotyzm gospodarczy, dający pierwszeństwo polskiej produkcji. Rządowe zarządzenia celne, akcja sfer kupieckich będą już szły po tej linji świadomości potrzeb i celowości ze względu na całość naszej gospodarki.

Czyż w państwie rozprzężonem, niezorganizowanem możliwa jest tego rodzaju samowiedza gospodarcza? Porównując więc nasze życie zbiorowe do sąsiadów, warto byłoby uznać, iż idziemy drogą normalną, a ta i gdzieindziej nie jest gładka...

Z TEKI KARYKATUR J. CZERMAŃSKIEGO



Karykatura Dr. M. Tretera

Redaktor odpowiedzialny ST. KRZYWOSZEWSKI — DRUK GALEWSKI I DAU, WARSZAWA

DROBIAZGI LITERACKIE

SETNA ROCZNICA ROMANTYZMU.

Zbliżamy się do setnej rocznicy powstania listopadowego. Było ono czynem romantycznego Kordjana. Tylko w atmosferze ideologji romantycznej mógł wybuchnąć ten pożar dusz: liczył on siły na zamiary i szedł z odą do młodości na walkę o wolność...

Romantyzm polski był najgłębszą i najwznioślejszą emanacją ducha naszego: czemu to przypisać, że setna rocznica nie wywołuje wcale echa w naszem życiu kulturalnem? We Francji rocznica ta spowodowała całą serję publikacji, monografji, opracowań. Publicysta „les Annales" p. Benjamin Cremieux w N-rze z dn. 15 lutego r. b. notuje prace, poświęcone romantyzmowi takich pisarzy: Pierre Trahard, Raymond Escholier, André le Breton, E. Benoit - Levy, Paul Souday, Gabrielle Reval, Emile Henriot, Robert de Traz, Jean Guéhenno, Daniel Halevy. Wydano też w nowych, monumentalnych opracowaniach dzieła Stendhala, Gerarda de Nerval, Merimée'go, Victora Hugo, Michelet'a...

Jest to objaw, świadczący o ciągłości kultury francuskiej. Pokolenie obecne czuje się związane duchowo i zainteresowane w dorobku artystycznym, ideowym wielkich romantyków. Szuka w nich przewodnich, zasadniczych wskazań, wzruszeń, myśli. Porównuje zagadnienia naszej epoki z pytaniami, które stały przed społeczeństwem i jej myślącą elitą podczas romantycznych walk o ideały. Taka świadomość daje dojrzałość sądu, konfrontuje go bowiem z wiecznie żywym nurtem psychiki narodu francuskiego.

U nas sprawy te leżą odłogiem. Romantyzm polski wogóle czeka na swego monografistę. Dobrze, że choć posiadamy monografje o trzech wieszczach narodowych. Jest to jednak zbyt mało, jeżeli się zważy, że za rok w listopadzie minie tragiczna chwila, gdy Wysocki u wrót Belwederu zawołał do narodu: Do broni!

DLA PRENUMERATORÓW „ŚWIATA"

OSTATNIA NOWOŚĆ!

„TEATR" STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

WYSZŁY DWA TOMY (NAKŁAD KSIĘGARNI F. HOESICKA)

Tom I (str. 396) zawiera:

„W A L K Ę", dramat historyczny w 7-u obrazach

„G Ł U S Z C A", komedję w 3-ch aktach

„KOLOMBINĘ", komedję w 3-ch aktach

Tom II (str. 350) zawiera:

„PANIENKĘ Z DANCINGU", komedję w 3-ch aktach

„A K T O R K I", komedję w 4-ch aktach

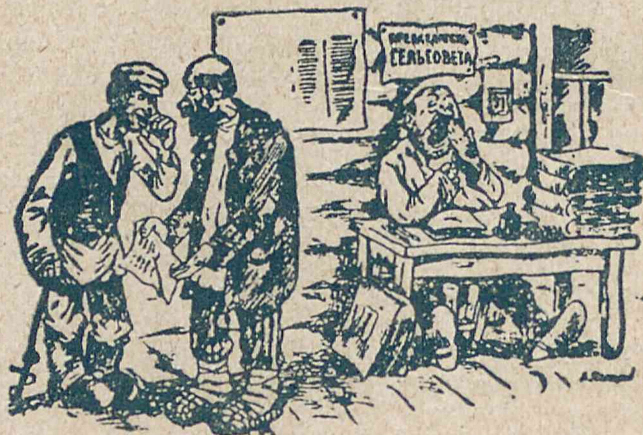
„R U S A Ł K Ę", komedję w 3-ch aktach

CENA KSIĘGARSKA POJEDYŃCZEGO TOMU ZŁ. 10.

Prenumeratorzy „Świata" otrzymają oba tomy za $^1/_2$ ceny, t. j. po złotych pięć za tom

Zwracać się należy do Administracji naszego wydawnictwa

HUMOR ZAGRANICZNY



SOWIET WIEJSKI

— Już trzeci raz przynoszę mu papiery do podpisania, a on odsyła mię.

— Pewno czeka, aż nauczy się podpisywać.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
SZPITALNA 12. Telef.: Administracji 504-00. Ekspedycji 501-51
Konto czekowe P. K. O. Nr. 3755
Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski Krak.-Przedmieście 13, (Hotel Europ.)

W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłosz. „PROMIEŃ" Piotrkowska 81, Księgarnia „Czytaj" Narutowicza 2, we LWOWIE: Oddział Tow. „RUCH"
CENY PRENUMERATY w Warszawie, odbiór na miejscu miesięcznie 5 zł., z odnoszeniem do domu 6.— zł., na prowincji: miesięcznie 6.60 zł., kwartalnie 19.80 zł.
Zagranicą miesięcznie 8.60 zł.

Cena numeru w Warszawie, na prowincji i na wszystkich dworcach kolejowych **1 zł. 40 gr.**

DRUK GALEWSKI I DAU WARSZAWA